№ 8. Warszawa, dnia 8 (20) Lutego 1875 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

SŁÓWKO

o praktyczności w życiu kobiety.

List otwarty Do .....

PRZEZ JANA PRUSINOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Oto był typ główny kobiety naszej — nietylko w domach zamożnych i dostatnich, ale nawet w domkach ludzi średniej zamożności, utrzymywanych pracą naczelnika rodziny, pojmującego swoje obowiązki i pragnącego im odpowiedzieć, stosownie do przekonań i wymagań czasu. Takie mniej więcej z rozmaitemi odcieniami, było życie naszych prababek, babek i matek jeżeli w jednym z momentów tego błogosławionego istnienia nieprzewidywana okoliczność, nie zburzyła tej sztucznej harmonii. — Śmierć albo marnotrawstwo, ojca, męża, a częstokroć górującego nad siostrami brata, źle obliczone przedsiębierstwo lub inny wypadek, wypędzały biedną zamarzoną kobietę z raju szczęśliwości — i narażały na próby tem srozsze, że niedopuszczalne nawet w przywidzeniu, i że ofiara nie była zaopatrzoną w żadne środki ratunku... Lecz nie — kobieta ówczesna nie była tak bezbronną w obce przeciwności, jakby się na pozór zdawało jak ją dziś pospolicie oskarżają. Najprzód— i co najgłówniejsza, miała ona wielką pokorę w obec wyroków Boskich, i gorącą wiarę w życie przyszłe. Jedno i drugie pobudzając ją w chwilach pomyślności, zaledwie do pobożności biernej i życia nieskalanego— w stanowczej chwili bolesnego ciosu, stwarzało w niej męztwo i cierpliwość ofiarnicy! Rzadko ona potrafiła zaradzić lub zapobiedz złemu „dźwignąć byt materyalny rodziny, ale umiała znieść godnie ubóstwo i niezasłużone upokorzenie. — Jeżeli zaś zdobyła się na swego czasu praktyczność, łatwiej, jak napomknąłem wyżej, mogła jakkolwiek utrzymać się w niedoli i niepopaść w nędzę, bo zamożniejsi krewni i *dobrzy ludzi* jej pomogli, bo środki życia w ogóle i środki urządzenia losu dzieci, były prostsze i dostępniejsze.

Czyliż potrzebujemy długich wywodów, żeby dowieść, że umysłowe i towarzyskie ukształcenie i wychowanie kobiety przy dzisiejszych warunkach ekonomicznych i społecznych, musi być konieczne różne od wzoru jaki starałem się zeszkicować wyżej? Od lat kilkunastu, wszystko się w około nas zmieniło: życie domowe i społeczne, innym poszło torem a stosunki ekonomiczne, na innych oparły się kombinacyach. Dziś kobieta wychowana w pieszczonem niedołęztwie w biernej pobożności, w trwożliwości trusiej, bez pewnego uzdolnienia do jakiej bądź pracy specyalnej i bez samodzielnego poczucia ciężkich obowiązków swoich, w razie zmian albo najmniejszego niepowodzenia jej strażników a głównie ojca lub męża, ma przed sobą dwie tylko drogi: — albo nędzę — albo zatratę moralną, wyjątkowo tylko niedoprowadzającą także do nędzy, po krótkich latach upokorzenia i zniewagi...

Musi więc dziś każda kobieta a zatem i ty moja młoda przyjaciółko musisz się kształcić samodzielnie *i praktycznie.*

Praktyczność ta jednak, jak starałem się cię przekonać, nietylko nie wyłącza podstaw religijnych i moralnych czyli w ogóle duchowych, ale na nich jedynie powinna się wesprzeć. Prawdy ewangeliczne są tak nieomylne i tak literalnie dają się stosować w życiu, że *Ekonomija społeczna*, dawniej zwana *Ekonomiją Polityczną*, jako nauka czysto praktyczna, wychodząc z zasad tylko ziemskich, społecznych, bez żadnego względu na religiję, do tychże co religija dochodzi rezultatów. Katechizm zakazuje nam kraść, zabijać i pożądać cudzego, Ekonomija społeczna podobnie, zdobycze na tem polu do zródeł produkcyi nie zalicza i jedyną dźwignię widzi w pracy. — Że Ekonomija społeczna i inne nauki specyalne, traktują dziś swój przedmiot niezależnie od zasad religijnych, i każda z nich szuka właściwych dla siebie podstaw realnych; nie znaczy to wcale, żeby one przeciwiły się religiji ale że podobne rozgraniczenie wykładu jest konieczne, dla należytego określenia i poznania każdej nauki oddzielnie wziętej. Cóż by to był za chaos, gdyby każda książka traktująca o tym lub owym naukowym lub artystycznym przedmiocie, powoływała się co chwila na przepisy religiji?

Mamy próbki podobnej niedorzeczności w piśmiennictwie naszem, w niektórych księgach wydanych w przeszłym wieku, gdzie historya narodu, monografija parafialnego kościoła, jeografija i t. p. zaczynały się zwykle od religijnej tradycyi, o stworzeniu świata, o Adamie i Ewie, o wężu kusicielu i t. p. O ile jednak, każda naukowa księga, czy podręcznik szkolny, wolne być mają od religijnego prozelityzmu, o tyle znowu każdy przystępujący do świątyni nauki, powinien mieć duszę i serce oświecone światłem wiary i moralności. My zaś chrześcijanie mając zakon moralności ewangelicznej, winniśmy go strzedz święcie i nie poddawać się lekkomyślnie, pod władzę pierwszej lepszej teoryjki, opartej na wyrojonych w obłędzie lub nawet ze złą wiarą, hipotezach lub sofizmatach!

Zadowoleni światłem które starczyło tylu wiekom, nie będziemy marnować czasu błądząc poomacku przy sztucznych ogniskach nowej fabrykacyi — i od razu ujmiemy się za pracę, na dostępnem nam polu rzeczywistego życia. Nie stracimy spokoju i ciepła przez wyrodny rozbrat z pojęciami wszczepionemi w nas przez matki i przez zgubny wpływ chłodnych, poniżających człowieczeństwo, mędrkowań. —

Oprócz tych wyższych względów, bądź przekonaną, że człowiek wstępujący w życie czyli przystępujący do pracy (bo życie i praca to synonimy) jak tylko nie uważa pobytu swego na ziemi, za doczesne przejście do wiekuistego żywota: jak tylko nie pojmuje tego życia na ziemi, w nierozerwanej spojni z rodziną z bliskiemi sobie i w ogóle z ludzmi, w takim razie niczem się on różnić nie be-

dzie od dzikiego zwierza wychodzącego na żer ze swojej kryjówki. Brzydkie postacie oddzielnych jednostek idących w tropy zwierząt, snują się napiętnowane odrazą i pogardą jak widma, choć ułomność ludzka częstokroć cierpi lub nawet schlebia im pozornie.

Jednostki mogą upadać pod wływem złych namiętności i niedołęztwa ducha, ale społeczeństwo tem bardziej społeczeństwo chrześcijańskie, niemoże upaść. Zostań więc po prawicy!

Sprawy ducha, sprawy tajemniczego stosunku ludzi z Bogiem i ludzi pomiędzy sobą, zostały niezmienione jak były od wieków. Zmieniły się tylko potoczne warunki materyalnego bytu i dla tego winniśmy inaczej się kształcić, inaczej urządzać życie domowe.

Owszem, zasady religijne i moralne bardziej są dziś kobiecie potrzebne niż dawniej. Ochraniana co chwila przez opiekuńcze ramię i nie narażana prawie na życie oddzielne po za progiem domowym, łatwiej mogła dotrwać w biernej postawie która jej tyle dodawała wdzięku. Dziś konieczność zmusić ją może, do odbywania samej dalekich podróży, nie tylko w kraju ale za krajem, do pobytu w wielkich miastach i stawania w obec nieznajomych—z jedynem oparciem na samej sobie.

Powinna więc być pewną siebie, powinna swoją samodzielność poznać i sama sobie za przewodnika i za strażnika służyć. Nie ma też sądzić, że ta władza samo - pomocy, poniża ją lub pozbawia niewieściego charakteru. Potrzeba tylko zachować rozumną i przyzwoitą miarę, między uczciwą samodzielnością a dwuznaczną eronteryą. Bezwiedna naiwność, prostoduszna łatwowierność, lub niedołężna lękliwość i niepewność siebie, mogą mieć zgubne następstwa: jeden krok fałszywy, zdolny jest nabawić wielu cierpień i na kompromitacyę narazić.

Przyzwoitość ruchów i mowy, kierowana wewnętrznem poczuciem własnej godności, obok należytego ukształcenia wyróżnią zawsze kobietę w tłumie, choćby okoliczności kazały jej być samej zdala od swoich. Zresztą, nawyknienie do dawania sobie rady posłuży zarazem do wyrobienia w sobie taktu, do obycia się z ludźmi i należytego ich traktowania.

Lecz zapytasz, jaki zawód pracy masz obrać, jaki dostępny jest dla kobiety?

Śmiało odpowiem: każdy zawód, każda praca która tylko nie naraża moralnego jej stanowiska i staje się dla niej dostępną ze względów fizyologicznych.

Mniej byłbym, za specyalnością naukową dla kobiety — przypuszczając, oprócz wyjątków, że może ją zbytecznie przeciążać. Zostaje jednak zawód nauczycielski, różnych stopni, buchalterya handlowa i korespondencya w magazynach zarządzanych przez kobiety.

Za bardziej stosowny i dostępny dla kobiet, przy odpowiednich zdolnościach, uważałbym zawód artystyczny, jako to muzyka, śpiew, malarstwo i rysunek artystyczny, lub przemysłowy w rozlicznych jego gałęziach.

Dalej stenografija i telegrafija.

Następnie modniarstwo, krawiectwo, i fryzyerstwo, zegarmistrzostwo kwiaciarstwo i inne dostępne dla kobiety rękodzielnie.

Nakoniec pozostaje obszerny dział zajęć wiejsko gospodarskich. Wspominam o nim na końcu, nie dla tego, żebym go za najpodrzędniejszy uważał ale przeciwnie, dla tego, że chciałbym nad nim, jako nad najważniejszym u nas nieco dłużej się zatrzymać.

Za ujęciem się szczerem i umiejętnem, za rozliczne gałęzie wiejskiego tak zwanego *kobiecego* gospodarstwa, przemawia najwymowniej jego tradycyjność w naszej przeszłości. Wiele z dawnych kobiet naszych, pomawianych ryczałtowo, o próżniactwo i *niepraktyczność*, nie mało przyczyniły się na tej drodze do produkcyi i narodowego bogactwa. Zasługa ich musi w naszych oczach wiele stracić z tego powodu, że rozwój gospodarskiego kobiecego przemysłu, polegał głównie na przymusowej pracy wziętych do dworu włościanek i innych obowiązkach.

Dźwignie te jednak, uspokójmy się, były bardzo usprawiedliwione w swoim czasie, i wcale nie ciężyły tyle ówczesnym włościanom — jak to mniemają niektórzy.

Przedmiot ten jest zupełnie obcy, obecnej mojej korespondencyi do ciebie—ale nie mogę nie przypomnić ci, że osobista praca zastępowała czynsz w gotówce, wówczas niepodobny prawie do zrealizowania; inne znów obowiązki — były także naturalnym czynszem, za używalność ogrodów, pastwisk i opału. —Bogu dzięki, że wszystko to, pod wpływem czasu i pojmującego postęp społeczny prawodawstwa, minęło. — Ale nie koniec na tem. Prawodawstwo zrobiło co należało do jego atrybucyi, z kolei społeczeństwo powinno przedsięwziąść i spełnić, co do niego należy.

Z uwłaszczeniem włościan, produkcya lnu, konopi wełny, domowego drobiu a nawet nabiału, owoców, warzywa, orzechów i grzybów, musiała się zmniejszyć z dwóch głównych powodów.

Najprzód, włościanki nie mając obowiązku hodowania przymusowo drobiu, dla udzielania pewnej daniny dworowi, w znacznej części zaniedbały chów domowego ptastwa. Podobnie będąc wolne od przędzenia motków do dworu, zbierania orzechów i grzybów, zleniwiały do zaopatrywania w te przedmioty własnego gospodarstwa, dla spekulacyi.

Z drugiej strony, dwory pozbawione danin w naturze i bardzo dostępnej pracy żeńskiej, zmniejszyły lub zaniechały zupełnie produkcyą tych wszystkich, tyle ważnych szczegółów, a że potrzebowanie przy ciągłym wzroście ludności, coraz się zwiększa dla tego cena ich szalenie co dzień niemal rośnie — i może wzrosnąć do bajecznych rozmiarów.

Któż się dziś u nas trudni tak zwanem gospodarstwem kobiecem? Nie odpowiem ci cyframi statystycznemi, ściągniętemi z całego kraju, ale z tego na co patrzałem w różnych okolicach, mogę ci śmiało powiedzieć, że kobiety włościańskie, niechętnie, nieumiejętnie i w bardzo małej stosunkowo ilości, trudnią się produkcyą drobiu, mleczywa i warzywa, wyrabianiem przędzy, zbieraniem grzybów, orzechów, żurawin i t. p. Że panie wiejskie, zasłaniając się niedostatkiem służby żeńskiej poczynając od pałacyków aż do dworków cząstkowego dzierżawcy, prawie nie biorą także udziału, w tej gałęzi przemysłu.

W okolicach mi znanych, wszystkie te produkta obrali za przedmiot swego handlu, głównie niemcy koloniści i żydzi — a w pewnej tylko części mieszczanie większych miast i miasteczek.

(*d. n.*)

Klin Klinem.

NOWELLA

PRZEZ

J. J. Kraszewskiego.

Similia similibus curantur.

(Ciąg dalszy).

— O autorstwie wątpie, nadto miał sekretarzów, rzekł professor, a co do samego żywota, nic w nim nowego dopatrzeć nie umiałem...

Marszałkowej już rozmowy tej było dosyć.

— Panno Stanisławo — rzekła zwracając się do panny, która przybrała postawę teatralną. Czy by pomarańczowych drzew wnieść do oranżeryi nie należało? Mrozu się lękam...

— O! Wasyl o tem pamięta, pieszczonym głoskiem, usta śrubując odpowiedziała panna Stanisława.

Marszałkowa wstała — był to znak że herbata się skończyła, ruszył się professor, któremu po podniesieniu się z krzesełka nie wiele wzrostu przybyło. Bernard także odsunął krzesło i za matką zwolna wyszedł do salonu. Oczy panny Stanisławy pociągnęły się za nim...

W salonie Matka zostawszy sam na sam z synem, przechadzać się zaczęła — Bernard stał o kominek oparty...

— Gdybym cię nie widziała tyle zmęczonym i jakby smutnym — odezwała się Matka stojąc przed nim, miałabym z tobą coś do pomówienia...

— Zmęczony jestem nie bardzo, a smutnym... wcale się nie czuję... owszem, proszę Mamy... proszę Mamy...

— Zbierałam się na to długo, mój Bernardzie, prawdę powiedziawszy, wolałabym nie mówić nawet o tem—ale mam obowiązek...

Spojrzała mu w oczy.

— Ty świata mało znasz, ludzi też — macierzyńska przestroga przydać ci się może..:

Tu westchnęła... Chciałabym ażebyś jak najmniej bywał u Fanteckich... Wiesz dla czego? Nie dla niego, bo to jest zacny, miły człowiek w którego towarzystwie tylko byś mógł zyskać — ale dla niej. To kobieta kapryśna, popsuta, zalotna, namiętna... zdziwaczała... dla młodego jak ty i niedoświadczonego człowieka — niebezpieczną być może. Nie lubię jej.

Bernard który z początku słuchał zbladłszy: drgnął gdy Matka wymówiła nazwisko, zarumienił się, poruszył .. chciał przerwać i wstrzymał się. Matka tę całą grę fizyognomji dostrzedz musiała. Zamilkła umyślnie, jakby wywołując odpowiedź.

Bernard milczał; widocznie ważył co miał powiedzieć.

— Zdaje mi się że Mama jest względem pani Seweryny uprzedzoną.

— Nie, lecz czuję w niej istotę, która nigdy szczęśliwą nie będzie i wszystkich którzy się do niej zbliżą nieszczęśliwemi uczynić może.

Powiem ci więcej, otwarcie i szczerze, ludzie mówią już, że patrzy na ciebie zbyt przyjaznem okiem, że ty zdajesz się nią zajmować. Nie wierzę temu, nie przypuszczam, ale życzyłabym sobie, aby do tego nie dawać powodów...

Spojrzała na syna, który stał jak posąg... W istocie rozważał w tej chwili czy miał skłamać, czy zebrać się na odwagę, wyznać wszystko i przygotować się do walki. Ostatnie było prawie koniecznością, prędzej czy później. Nie taił przd sobą że ta walka z Matką, którą kochał, której nawykł być posłusznym straszną dlań była i bolesną. Ale obraz cudnie pięknej Seweryny, uczucie z jakiem mu się tego wieczora rzuciła na szyję... słowo jej dane — zmuszało do tego kroku...

Na twarzy Matki długie milczenie syna odmalowało się obawą.

— Jestże w tem co prawdy — co mówią ludzie? zapytała...

— Kochana Mamo, drżącym głosem począł Bernard, nie śmiejąc na nią podnieść oczów — nie chcę kłamać i nie mogę, przed ludźmi fałszembym się zasłonił może, przed tobą — nie umiem.. Ja tę kobietę kocham — to kobieta nieszczęśliwa, najnieszczęśliwsza... ten człowiek jest tyranem.

Marszałkowa krzyknęła, załamała ręce i tupiąc nogą, zawołała.

— Śmiesz mi to wyznać! Bernardzie! Śmiesz mi powiedzieć — mnie! że kochasz żonę cudzą, kobietę zamężną!!! O Boże! a w cóż się obróciło całe wychowanie moje — na progu życia... ty... moje dziecko.!!

I oczy sobie zakryła..

— Niech się Mama uspokoi — rzekł Bernard — od tej chwili jak ją pokochałem, nie pomyślałem nigdy o zdradzie... Ten węzeł co ją łączy z Fanteckim, pęknąć musi... ona się rozwiedzie...

Marszałkowa wybuchnęła..

— Ona się rozwiedzie! a ty myślisz że ja — póki żyje, pozwolę ci się ożenić z tą awanturnicą, która będąc żoną drugiego mogła ciebie młodego obałamucić, obłąkać i uczynić występnym.

Mylisz się Bernardzie! Dla twojego szczęścia a dla czci domu, nie pozwolę na to...

Zakazuję ci nogą stąpić na próg tego domu, widzieć ją, myśleć o tem...

Jutro wyjedziesz w drogę — niedalej jak jutro wybierzesz się do Berlina... nie zaszkodzi ci nauka... Wolno w Uniwersytecie obrać przedmiot jaki zechcesz. Rok tam zabawisz — na to nie ma odpowiedzi, nie może być wymówki, znasz mnie — to moje pierwsze i ostatnie słowo...

Nie oczekując nawet odpowiedzi Marszałkowa ruszyła się z miejsca na którem stała, chwyciła za dzwonek i uderzyła w niego mocno. Drzwi od sieni otworzyły się prawie natychmiast, wszedł Mikołaj stary.

Jakkolwiek zburzona, pani Znińska dosyć spokojnym głosem odezwała się do niego.

— Pan Bernard wyjeżdża jutro na czas dłuższy, proszę aby dla niego do drogi było wszystko gotowem.

Jeżeli jesteś zdrów; czujesz się na siłach, pojedziesz z nim.

Mikołaj się skłonił.

— Jutro? zapytał.

— Tak jest, jutro rano wypadła potrzeba dodała Marszałkowa — należy wszystko przygotować do rana...

Bernard milczał.

Zdawało się że w obec energji z jaką Matka postąpiła stracił wszelką przytomność i siłę. Mikołaj stał jeszcze spoglądając na panią i syna, gdy nareszcie Bernard słabym głosem się odezwał.

— Mama pozwoli mi z sobą pomówić o tem jeszcze...

— Mówić możemy, odrzekła Marszałkowa, ale Mikołaj niech się pakuje do drogi. Dała mu znak ażeby wyszedł i stary sługa jak zwykle, ustąpił.

Bernard odszedł od komina powoli.

— Nie jestem już dzieckiem, odezwał się, szanuję wolę Mamy, ale nie mogę wyrzec się swojej, tam gdzie idzie o szczęście moje i o honor...

Ja — nie pojadę — dodał kłaniając się — bom dał słowo nieszczęśliwej kobiecie, i tego słowa dotrzymam...

Usłyszawszy te wyrazy, doznawszy oporu którego od dziecka nie mogła się spodziewać, Marszałkowa nie odpowiedziała słowa, obejrzała się szukając krzesła, padła na najbliższe i zasłoniła sobie oczy...

Bernard stał własnem postępowaniem zmieszany i drżący...

Nagle Matka podniosła chustkę od twarzy, głos jej brzmiał zmieniony.

— Bernardzie, rzekła — daję ci czas do namysłu... godzinę — dwie...

Sumienie mi każe być surową — będę nią do ostatecznych granic. Nieposłuszeństwa nie rozumiem, nie przypuszczam, albo spełnisz wolę moją, lub — ja nie mam syna. Jesteś wolnym, ale cię więcej widzieć nie będę...

To co masz — jest mojem. Środków i pomocy do popełnienia czynu niemoralnego dostarczać ci nie chcę — z majątku nie dostaniesz nic, kocham cię — ale pobłażać występkowi nie będę, dla tego że cię kocham tylko cnotliwym, nad występnym litość mieć będę... lecz litość samą...

Bernard zakrył sobie oczy.

— Matko — zawołał — ja ją kocham! zabijesz mnie!

— To rozpusta nie miłość! przerwała Marszałkowa — to kobieta zepsuta... Ty sam nie wiesz co mówisz... ja ją znam—tyś słaby, uwiedziony, nieprzytomny...

Jeszcze chwilę stał Bernard blady jak ściana i drżący... stał i wahał się...

Matka nieubłagana odwracała oczy od niego..

— Żegnam Mamę — rzekł głosem słabym.

— Matki się wyrzekasz dla — tej... krzyknęła niekończąc p. Znińska.

Syn nie odpowiedział nic — spuścił głowę... zawrócił się zwolna i wyszedł...

Gdy się za nim drzwi zamknęły, Marszałkowa wybuchnęła płaczem, krótka ta scena uczyniła na niej wrażenie piorunu. Przed chwilą jeszcze była spokojną, była szczęśliwą — zaledwie dziecinną płochością zdawał się ten stosunek, który teraz wyrosnął do rozmiarów tragicznych.

Nie wiedziała co miała czynić, gonić kazać syna, prosić go... łzami starać się zmiękczyć, czy wytrwać w energicznym oporze. — Zgadzało się to daleko lepiej z jej charakterem. Pomyślała że to słabe dziecię nie wytrwa, opamięta się, powróci — że się na ostateczność nie odważy.

Pozostała więc w krześle a łzy zwolna osychały, i serce na niewdzięczność oburzało. Lecz razem litość budziła nad biednem dziecięciem... Z głową zwieszoną, przybita, zapominając godzin, czasu... wszystkiego co ją otaczało, siedziała tak nie wiedząc jak długo, gdy drzwi się otworzyły i panna Stanisława bojaźliwie się rozpatrując po pokoju, weszła do niego przestraszona.

Nigdy jeszcze nie widziała swej pani w takim stanie osłabienia i znękania...

— Co pani jest! zawołała przypadając.

Ten głos obcy ocucił na w pół omdlałą, która porwała się nagle i ręką ocierając czoło — odparła głosem złamanym.

— Nic — nic...

Panna Stanisława nie chciała badać.

— Która godzina? zapytała Znińska.

Było około dziesiątej — o tej porze zwykle rozchodzili się wszyscy.

Z drugiej strony wsunął się Mikołaj, jakby po rozkazy... Stał w progu z nogi na nogę przestępując.

Spojrzała na niego. Westchął głośno.

— Chcesz co ode mnie? spytała Znińska.

— Nie — szepnął po cichu — ale do podróży gotować się — nie wiem czy potrzeba,.

— Dla czego?

— Panicz, wyszedłszy ztąd, wprost pobiegł do stajni, siadł na koń i wyjechał.

Nic nie odpowiedziała matka, skinęła tylko ręką na Mikołaja, aby odszedł... i krokiem błędnym za panną Stanisławą, poszła milcząca do sypialni.

Pan Kalasanty był właścicielem jednej wioski w okolicach Starego Konstantynowa, to jest w jednej z najurodzajniejszych stron Wołynia.

Posiadłość to była nie zbyt rozległa, na pozór nie piękna wcale. Dwór nie bardzo dawno znać sklecony na wygonie bez drzew, otoczony budowlami równie niepozornemi z chrustu, i płotami z gnoju i gliny, wyglądał jak ekonomska gdzieindziej oficyna. O wdzięk nie zdawał się gospodarz dbać wiele, dla oka nie było nic, nic dla przyszłości.

Parę wierzb starych i kilka młodszych w pobliżu zabudowania stanowiły całą ozdobę. W środku podwórza, które było zarazem gospodarskiem i dworskiem, panoszyła się studnia z korytami do pojenia, w rogu brudna popielnia bez drzwi świeciła odrapanemi bokami.

Lecz ubóstwo to i zaniedbanie było pozornem, łany były ogromne, grunta doskonałe, na boku stały sterty okazałe i gospodarstwo szło wybornie, porządek w niem panował wzorowy; pan Kalasanty miał się dobrze. Choć lasu nie było w bliskości, majątek miał spory kawał brzeziny i nie potrzebował kupować ani opału, ani nawet małych budowlanych materyałów. Obchodzono się cienkiemi beleczkami i jaką taką krokiewką.

W domu u podsędka nie było wytwornie wcale, pułap świecił pobielanemi tarcicami, ściany tynkiem prostym, meble były jakieś odwieczne i z rodzaju tych któremi się karczmy stroją po małych miasteczkach. Dwornia też starego kawalera nie była liczną.

Kuchta z babą jeść gotował, kozaczek był na usługi, parobczak w świtce go powoził. Konie acz lubione bardzo należały do tej rasy, która bez uszczerbku godności i zdrowia chodzi w bronach i daje się do radeł zaprzęgać.

Panu Kalasantemu z tem wszystkiem było dobrze i ludzie mieli go za bardzo zamożnego. Mówiono po cichu że już kilka wsi targował... Był to jeden z tych ludzi co spokój lubią, ze wszystkiemi są w zgodzie, nie wyrywają się naprzód, nie szukają natłoku a cicho idą do celu... Ani skąpy ani rozrzutny, pan Kalasanty zbierał raczej niż tracił.

Sknerą nie był ale nawykł od młodu do życia oszczędnego, a potrzeb zbytkownych i kosztownych nie miał. Gdy go napastowano że się nie żenił, odpowiadał zwykle z uśmiechem, że dla dwojga jeszcze miał mało, a jejmości z posagiem do domu wprowadzać się obawiał, bo takaby go więcej kosztowała niż wniosła.

Z lichych a cienkich kołeczków sklecone wrotka do dziedzińca, rzadko się kiedy dla gości otwierały; mało tu kto bywał oprócz młodzieży, która u pana Kalasantego hulać bardzo nie mogąc, wolała go do siebie zapraszać. Gościł on chętnie u drugich, w domu nie żałował niczego, ale nie miał wiele, wódką starką i lada jakim węgrzynkiem trzeba się było obchodzić.

Nazajutrz po spotkaniu z Bernardem podsędek był w domu, gospodarował trochę i odpoczywał — ale od rana szkuta się z gośćmi rozbiła, płynęli niespodziewani wcale jeden po drugim.

Pierwszy który się nawinął był ksiądz wikary z Ostropola — wesoły i miły człowiek, którego pan Kalasanty lubił bardzo i żył z nim w przyjaźni. Wracał on ze chrzcin i wstąpił na chwilę.

— Jak się masz ojczuniu — w ganku go powitał gospodarz... oto mi gość. Dziękuję żeście o mnie nie zapomnieli...

— Byłbym minął, ale grzeszna ciekawość mnie sprowadziła, przyznaję się — rzekł duchowny — słyszeliście co o pani Fanteckiej? czy to prawda...

— Ale co? zapytał pan Kalasanty, bo różne rzeczy plotą...

— Porzuciła słyszę męża i pojechała do Żytomierza o rozwód się starać!

— Kiedy?

— Miała jakoby dziś wyjechać!

Gospodarz ramionami wzruszył, spojrzeli po sobie — i oba głowami pokiwali.

— Co to jest? Czyż by ten młokos? zapytał wikary...

— Młokos! co tu młokosa winić, to dzieciak — zawołał Kalasanty — jeśli winien kto, to ona...

— Źle jej było! dodał ksiądz — człowiek zacny, dobry, na palcach przed nią chodził...

— I popsuł... dorzucił Kalasanty — ale — co o tem mówić — jeszcze bajki być mogą.

(d. c. n).

LIST PIĄTY

DALEJ NA ZACHÓD.

Council Bluffs w Stanie Jowa

w Ameryce północnéj

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

Zdziwi was pewno kochany Redaktorze nazwa miejsca z którego piszę list niniejszy, gdyż nie wątpię iż pomimo całej biegłości waszej w geografji, nigdyście nie słyszeli o Council Bluffs. Przyznam się wam iż chociaż opłynąłem kulę ziemską prawie dwa razy, i mam mapę wszystkich części świata na swych podeszwach, i ja usłyszałem dopiero przed wczoraj o tej City *) amerykańskiej. Przed trzema dniami i nie marzyłem o jej istnieniu i nie myślałem iż zobaczę kiedykolwiek bezludne jej ulice.

Lecz chłop strzela, Pan Bóg kule niesie. O prawdziwości tak mądrego starego przysłowia przekonywam się coraz dobitniej w mych włóczęgach. Ile razy wsiadam do wagonu strzelają mną a po kilkunastu godzinach trafiam do celu, o którego istnieniu dowiaduję się dopiero w chwili wysiadania z kary.

Zaledwie zdołam się obejrzeć w nowej gościnie — a trwa to niedługo, bo gdy wszystkie tutejsze grody na jeden model zbudowane, więc nie tracę czasu na oglądanie nowości — już znów nawija się pokusa by dalej w drogę ruszać. W ten to sposób jadąc z miasta do miasta, ze stanu do stanu, trafiłem wreszcie do Council Blufft, nad rzeką Missouri, rozgraniczającą stepy stanu Iowa (czytaj Ajowa) od stepów stanu Nebraska.

Żółte nurty rzeki płyną pod oknami, do koła miasta wznoszą się spadzisto pagórki z piaskowcu, mające kilkaset stóp wysokości. Wyszedłszy tą niziną, ujrzysz kraj zupełnie równy lub falowaty, jak powierzchnia oceanu uspakajającego się po burzy. Oprócz domku rolnika, parkanów z tarcic i żywopłotów, nie dostrzeżesz żadnego przedmiotu na którymby oko wypocząć mogło. Step okryty długą trawą posrebrzoną śniegiem i szronem, i niebo ciemno-błękitne tworzą cały krajobraz.

Jeżeli obrócisz się twarzą ku rzece płynącej w dolinie, dostrzeżesz na niej śliczny, ćwierć mili długi most żelazny, po którym pędzi długi pociąg, zostawiający za sobą jeszcze dłuższą smugę burego dymu. A za mostem znów rozwlekłe i na wpół drewniane a na wpół ceglane miasto się rozlega. To miasto nazywamy Omaha, jest ono największą City w Nebrasce. Kolej i most łączący Council Bluffs i Omahę należą do towarzystwa Pacific Railroad.

Kolej to sławna, o której budowie czytaliśmy przez długie lata, i która połknęła więcej pracy i kapitału jak którekolwiek przedsiewzięcie nowoczesne. Od oceanu do oceanu bieży, przecina bory odwieczne i stepy po których do niedawna tylko antylopa i Indyanin hulali, świdruje góry na których szczyty jeszcze najśmielszy kopacz złota wejść się nie odważył, przeskakuje rzeki przed któremi wielki Dunaj karleje. Od wschodu na zachód bieży długa ta linija szyn stalowych i słupów telegraficznych, służących za jedyny drogoskaz po bezludnych łąkach: wreszcie, ubiegłszy mil 800 (geogr), dobiega do brzegów północnego Pacyfiku. Śmiało mogę nazwać ją węzłem łączącym obie półkule.

Zapytacie zapewnie w jaki sposób trafiłem na tę kolej i na most ten. Długie to dzieje i by wam je wyjaśnić, muszę dalej ciągnąć opowiadanie o mym pobycie w Chicago.

Przypatrzywszy się dość dobrze stosunkom miejskim w Ameryce, przyszedłem do przekonania, iż zupełnie nie odpowiedziałoby mym zwyczajom i usposobieniu. Dla tego też postanowiłem wynieść się z miasta, nabyć kawał roli na dalekim zachodzie. Tam będę mógł grzebać, polować i żyć wedle własnego pustelniczego upodobania. Kto jak ja strawił młodość w puszczach, tego natura zawsze ciągnie do puszczy, niby wilka do lasu. Chodziło o to gdzie pojechać. Każde towarzystwo kolei żelaznych idących na zachód, a jest ich tu co niemiara, drukuje pamflety zachwalające obszary pustej ziemi należącej do nich. Te obszary dał im rząd tutejszy jako zachętę do rozgałęzienia sieci kolejowych w nieludnych okolicach. Każda nowa linija otrzymuje część gruntów niezajętych, leżących przy drodze. Grunta nadane zajmują połowę pasma mającego 5—10 mil szerokości po obu stronach szyn żelaznych. Część druga pozostaje i nadal własnością rządową.

Otóż jak długo starczy ziemi pozostającej w ręku rządu, a bliskiej kolei, rolnicy nie kupują gruntów, lecz wprost biorą tak zwany homestead claim (grunt przysługujący na osiedlenie się). Dopiero gdy takiej roli nie staje, poczynają kupować ziemię od spekulantów, płacąc im po 5—10 dolarów od akra (morgu) byle nie oddalać się zbytnie od drogi wywożącej ziemiopłody na targi.

W stanach bliższych ognisk cywilizacyi zbywa dziś już zupełnie na roli rządowej, wypada więc kupować kolejową. Ludzie śmielsi i nie obawiający się dzikich, idą jednak daleko na zachód i zawsze jeszcze znajdą miejsca żyzne które zabierają bezpłatnie. Pomieszkawszy na nich przez lat 3, domagają się od rządu tak zwanych *deeds* czyli papierów dowodzących prawo własności. Za opłatą półtora dolara od morgu przybywa mierniczy, wymierza; oddzielna obszar 160 morgowy i robi rolnika mieszkającego na nim właścicielem. Więcej jak 160 akrów nikt nie może otrzymać jako homestead, lecz też i nie wymagają od niego wyższej ceny nad $1\frac{1}{2}$ dolara od akra, ani też gotówki aż do chwili gdy mierniczy przybył i odznaczył granicę.

Po namyśle przyszedłem do przekonania, iż daleko rozsądniej byłoby wybrać sobie homestead, choćby w dzikim zachodzie, jak nabywać ziemię od towarzystw kolejowych wedle przykładu przyjaciół mych, obawiających się wyjścia po za obręb przeludnionych okolic. Ludziom tym nie dziwię się wcale, bo nie oswojeni z życiem na puszczach i słysząc straszne a kłamliwe opisy urojonych niebezpieczeństw, obawiają się Indyan i zwierząt drapieżnych, nie wiedząc, że są tu powiaty w których ani Indyanina ani niedźwiedzia na lekarstwo nie spotkasz, a jeszcze milijony akrów urodzajnej ziemi leży odłogiem. Agenci towarzystw kolejowych, owi to oszuści rozsyłający kłamliwe cyrkularze by wyciągać lud roboczy z Europy, wyzyskują ich niewiadomość i sprzedają im wybirki za cenę drogą, często w takich nawet okolicach gdzie jeszcze nie braknie gruntów rządowych. Wszyscy ci agenci, Niemcy czy Szlązacy, w Nowym Yorku czy Chicago, jakkolwiek brzmią ich odezwy posyłane do was i obiecujące złote góry, zasługują na 10 lat więzienia.

Jako najzdrowszę i najłatwiejsze do uprawy Stany, mogę polecić sumiennie Nebraskę i Minesotę. Większą ich część tworzą falowate stepy żyzne, jak Egipt i zdolne do orania w pierwszym już roku po objęciu ich. Tylko budulcu na nich brak wielki, i dość daleko do portów. Rozważywszy jednak, iż praca karczowania borów wymaga więcej kapitału i pracy, jak kupienie takie i zbudowanie z nich domu, nie radziłbym nikomu wybierać się do północnych stanów. *)

Dalej na zachodzie, w prowincyach (territory) nie posiadających samo-rządu jak stany, lecz rządzonych z Washingtonu, łatwiej jeszcze o rolę. Tam jednak spotkasz rzeczywiście i zdradzieckich Indyan i drapieżne zwierzęta, tylko ludzie którzy się wżyli w stosunki tutejsze odważają się zamieszkiwać te strony.

Ja kochany Redaktorze obrałem Minesotę za przyszłą mą siedzibę. Do południowego Illinois, Kansas i Missouri, dokąd wabią cyrkularzami Poznańczyków, nikt nie pojedzie kto wie co to febra; ja nachorowawszy się przez lat tyle na tę trapiącą niemoc, wiem nadto dobrze jak smakuje. Niegdyś, zanim ją miałem, umyślnie pojechałem do krajów w których gości, chcąc osobiście jej doświadczyć. Z usposobienia lubię przekonać się naocznie, jak wygląda każda rzecz nieznana o której słyszę często, dla tego też cieszyłem się po części gdym uczuł po raz pierwszy dreszcz i gorączkę prawdziwej żółtej febry. Lecz zbadawszy jej objawy i skutki, nie myślę powtarzać eksperymentu.

Postanowiłem jak powiadam pojechać do Minesoty i zostać tam jednym z owych pioneer farmer (rolników na forpocztach cywilizacyi). Takie zajęcie zawsze mi się wydaje najgodniejszem dla człowieka z energiją i siłą cielesną. Dla kobiet zostawiam ważenie pieprzu i siedzenie za sklepowym kantorem, dla wątłych mieszczuchów ślęczenie nad rachunkami i odbieranie chleba dziewczętom, któreby mogły spełniać tę samą pracę dokładniej nawet. Kto jak ja, przenosi nowy świat nad stary, nie w Chicago pełnem nędzy i zbrodni lecz na zachodzie osiądzie.

Postanowiwszy przenieść się do Minesoty tamże pojechałem. Lecz chłop strzela a Pan Bóg kule nosi, i dziś ni ztąd ni z owąd znajduję się w stanie Iowa, o mil ang. 500 od Minesoty i biorę udział w szalonej wyprawie Nebraski, by spolować pół tuzina Indyan.

Council Bluffs, gdzie musieliśmy się zatrzymać oczekując na pieniądze, wcale nie wygląda powabnie po Wiedniu, Londynie a nawet Chicago jak się przekonacie z późniejszego opisu. Nie dziwcie się więc kochany Redaktorze, iż siedząc w jadalni hotelowej przytykającej do szynkowni, w której piją i swarzą się Irlandczycy, patrząc przez okno na domostwa bez smaku i ulice bez życia, jestem w kwaśnym humorze. Z nudów porywam za pióro i gryzmolę ten list do was, a niedolę mą obecną pociesza myśl, iż i wy czytając o mych nudach niemniej nudzić się będziecie. Wiecie zaś bardzo dobrze że natura ludzka tak do złego skłonna, iż obce nieszczęścia cieszą nas, jeżeliśmy sami nieszczęśliwi. A teraz, gdy wam oznajmiłem iż siedzę i nudzę się w tej nędznej mieścinie, słuchajcie dla czego do niej zajechałem.

W poprzednich listach doniosłem wam, iż w Chicago zapoznałem się z wielu Szlązakami. Ogół ich mniej więcej pracuje ciężko, bo w Ameryce każdy musi ciężko pracować, a wasi robotnicy europejscy tylko dłubią z wolna w porównaniu z tutejszemi, wytężającymi wszystkie siły ciała i głowy przy pracy. Pracowitym i tylko pracowitym dobrze się tu wiedzie.

Są jednak wyjątki, mianowicie tej zimy. Czy to z własnej winy czy wskutek ruiny finansowej jaka

*) Angielskie słowo City przysługa tylko stutysięcznym stolicom, ztąd śmieszność nazywania miasteczek o kilkuset mieszkańcach tem imieniem.

*) Stany Zjednoczone rozpadają się na stany, rządzące się autonomicznie i nieludne terytorya rządzone przez władzę centralną.

spadła niedawno na Stany Zjednoczone, tysiące ludzi postradało swe zajęcie przy fabrykach i coraz więcej robotników próżnuje. Kupcy żyjący z klas roboczych równie też cierpią, bo gdy ludziska nie mają pieniędzy, trudno by kupowali ich towary. Kupcy nadszarpują więc kapitał, wyrobnicy grosiwo oszczędzone z dawnego ciężkiego zarobku, by przebyć zimę która jak gdyby dobitek nieszczęścia, rozpoczęła się tego roku o 6 tygodni wcześniej jak zwykle. W końcu Października, gdy powinno panować w Ameryce owo cudownie łagodne indyjskie lato, zamiast niego mamy stopę śniegu i mrozy 4—6 stopniowe! Cóż za cierpienia oczekują biedaków nie mających pracy, którzy albo zbyt krótko w Ameryce by mogli posiadać zaoszczędzone pieniądze, lub w skutek własnej winy nic dotąd nie oszczędzili. Dzięki niebu większość znajomych w Chicago posiada cośkolwiek grosiwa i złote serca by wspierać biedaków. Znam tam *zecera* bez pracy i chorego na suchoty, dla którego złożyliśmy w przeciągu dni kilki *sto pięćdziesiąt* dolarów, by mógł do wiosny dożyć. Tu w Ameryce uczą się i nasi ludzie samarytanizmu na sposób angielski. Gdy dają, to dolary a nie miedziaki. Wyrobnik zarabiający 2 dolary dziennie daje więcej na szkółki, kościoły lub cele dobroczynne jak galicyjski szlachcic z poszóstnym dochodem.

Proboszcz w Chicago powiadał mi, iż więcej widział w tem mieście zabójstwa w przeciągu 2 tygodni, jak przez 10 lat w Texas. Tam gdzie Szlązaków, Kaszubów i Poznańczyków liczą na tysiące, gdzie są osady jak *Panna Marya* lub *Martinez*, liczące po 900 rodzin nie widział nędzy. Nieznajomość mowy angielskiej nie przeszkadza w znalezieniu zarobku, gdyż brak rąk pomiędzy farmerami wielki. Prawda że mniej tam płacą tygodniowo jak w wielkich miastach, bo rolnik nigdy tyle nie zarabia jak wyrobnik fabryczny. Ten sam stan rzeczy panuje i w Wiscousin, stanie leżącym na północ od Chicago. Mnóstwo i tam osad rolniczych, we wszystkich zaś podobno nie zbywa na jadle i napoju. Gotówki jednak nie wiele, nie wiele towarzystwa pomiędzy borami, lub na farmach rozrzuconych wzdłuż koleji żelaznej.

Stosunki w Chicago wcale mnie nie nęciły do pozostania w mieście, zwłaszcza że jak wiecie kochany Redaktorze, nienawidzę gwaru bruku. Pomimo rozmaitych namów, zachęt i ofiar, pomocy radą i czynem, nie udało się znajomym nakłonić mnie do zostania episierem lub do jakiej pracy w biórze. Za złote góry nawet, nikt mnie już nie schwyci za stołem i z piórem w ręku, suszącego głowę na cyframi. Jeżeli maczam pióro w atramencie, to tylko aby pozdrowić znajomych lub napisać do was długi list o mych przypadkach.

Zanim wyjechałem przypatrzyłem się dość życiu miejskiemu w Ameryce, by się wywiązać z przyrzeczenia w poprzednim liście, iż wam doniosę o nim szczegółowo. W tej pracy pomógł mi wielce niejaki Warszawianin tu osiadły, który także przybył w przeszłym roku do Europy, i napowrót wrócił do nowego świata. Szczęśliwszy ode mnie umiał pozyskać serce hożej i młodej Warszawianki i przywiózł ją z sobą do Chicago. Oczywiście, iż człowiek posiadający skarb taki wcale nie pragnie jechać w dzikie kraje i narażać go na niebezpieczeństwa tutejszych kolei i puszcz. Siedzi więc w Chicago, zarabia dobre myto jako budowniczy, pieści Warszawiankę i dziecię którem go już Bóg obdarzył.

Inny znajomy adwokat amerykański, jeszcze lepiej zapoznał się z towarzystwem tutejszem. Pamięć kilku godzin mile spędzonych w Szwajcaryi, tak mu tkwiła w myśli, iż zapraszał mnie bezustannie do swego hotelu. Wedle zwyczaju ludzi zamożnych w tej dziwnej krainie, człowiek ten mieszka w paradnym zajeździe, chociaż ma dwie dorosłe córki, którebymogły zarządzać gospodarstwem owdowiałego ojca. Lecz taki to już tu zwyczaj, by przenosić gwarny i wspaniały hotel nad zacisze domowe.

Pomieszkanie jego w hotelu składało się oczywiście z kilku komnat. Obiad jadał jednak z całą rodziną w sali wspólnej. Zaproszony raz na taki objad, usiadłem do uczty, do której nie mógłbym przyrównać najświetniejszego table d'hotel w Szwajcaryi. Obfitość i różność potraw i win była ogromna, niemniejszy też apetyt gości. Każdy jadł szybko i mało dbając o sąsiadów; panowie zaledwie napełnili żołądek i obtarli usta wnet wybiegali z sali, panie niemniej żwawo się zwijały. Gromadka ta ludzi wykształconych, bogatych i żyjących suto, przypominała mi w tej chwili zgraję wilków.

Chociaż nienawidzę ceremonialnych waszych obiadów, i czekania aż półmisek dojdzie do mnie z kolei, przecież nie posuwam mej rubaszności aż do sposobu amerykańskiego połykania na wpół pożutego mięsiwa i wyrwania się od stołu bez ukłonu nawet, by czemprędzej wrócić do businesu (interesów) i robić dolary. Prócz tego obawiałbym się by jedząc trzy razy na dzień tak obficie i prędko, nie dostać niestrawności.

Prawie wszyscy tubylce muszą często zapadać na tę chorobę, i dla tego Anglicy i Amerykanie wiecznie biorą czyszczące pigułki. Każdy dziennik tutejszy przepełniony anonsami lekarstw patentowanych: najprędszą tu podobno drogą do majątku jest szarlatanerya na wielką skalę, i wsparta szumnemi obwieszczeniami. Ktoby tu nakręcił pigułek z chleba, a umiał zgrabnie je zalecić publiczności, wnet zbierze spory zapas greenbacków (banknotów), zwłaszcza iż żadne prawo nie zabrania mu nazwania się doktorem medycyny i sprzedawania swoich lekarstw, choćby i arszenik do nich domieszał.

Po obiedzie zapoznałem się z łaski adwokata z kilku literatami tutejszemi. Należeli oni do rozmaitych i przeciwnych sobie dzienników. Z zadziwieniem spostrzegłem iż specyalny korespondent Timesa (w Chicago), pił za pan brat ze współpracownikiem Tribuny. Jeszcze wczoraj czytałem obie gazety, a każda z nich popiera innego kandydata na urząd burmistrza. Tenże sam pan od Timesa nazywał całą redakcyę Trybuny oszustami, tuczącymi się groszem publicznym, Trybuna zaś tytułowała wydawców Timesa swiętoszkami na ulicy a pijawkami w domu.

— Zmiłuj się pan, rzekłem do adwokata: wszak ci ludzie wczoraj się błotem obrzucali, dziś żyją w najświętszej zgodzie i przyjaźni.

— Nasi gazeciarze nie przenoszą swych sporów po za próg biór redakcyjnych. Ten pan piszący do Trybuny zapomina o wszystkiem co Times pisał w chwili, gdy kładzie kapelusz by wrócić do hotelu.

— Lecz jakże może zapomnieć iż nazwano go publicznie złodziejem grosza publicznego? odparłem.

— Wie on dobrze, że taktyka wyborcza wymaga by przedstawić przeciwników w jak najgorszem świetle. Zresztą wyborcy nasi mało dysputują, zostawiając dziennikarzom przywilej kłócenia się. Ludzie żyjący opodal czytają kłótnie i wyobrażają sobie że wszyscy tubylce tylko polityką zajęci.

W istocie przekonałem się w parę dni później, że tylko dzienniki zajmują się tu głośną polityką. Mieszkańcy w Chicago, chociaż wcale się niewyłączają od urny wyborczej mało jednak rozprawiają o kandydatach. Na meentingach (sejmikach) przedwyborczych nie wiele widziałem słuchaczów, chociaż nie zbywało na mówcach, gdyż każdy kandydat kilkakrotnie przemawia do tłumu i objaśnia mu swe zdania. Ktoby jednak myślał iż lud tutejszy opieszały w używaniu przysługujących mu praw, wielce by się omylił. Tysiące przybyszów spieszy przed wyborami by przyjąć obywatelstwo, otrzymać prawo głosowania, setki tysięcy idzie w dzień stanowczy do domu sądowego, by poprzeć owo prawo wrzucenia do urny kartki mieszczącej nazwisko kandydatów. Wielu posuwa swą gorliwość do oszustwa i wpisuje się w kilku powiatach wyborczych by kilkakrotnie i z narażeniem się na grubą karę, głosować za swemi przyjaciołmi. Zgoda rozmaitych stronnictw tak tu doskonała, iż na parę tygodni przed elekcyą jednozgodnie całe stronnictwo obiera pewnych kandydatów. I tak dajmy na to iż 2 partye istnieją w mieście, to każda z nich ułoży najpierw tak zwany *ticket*, czyli spis osób mających piastować urzęda na rok przyszły, od burmistsza do najniższego urzędnika. Każdy głosujący przyłącza się z czasem do jednego lub drugiego spisu, w dzień wyborów nie rozstrzeliwają się więc głosy na różnych kandydatów, lecz dzielą się na dwa obozy. Dawniej, gdy tylko republikanie i demokraci istnieli w Chicago dwa takie tickety tworzono, dziś jednak wytwarza się tu trzecia partya, zwana partyą ludu, kierowana głównie przez przybyszów przeciw pury[illegible]nom. Kwestya zabaw niedzielnych jest hasłem tego stronnictwa.

W innych stanach zachodzą znów inne pytania wytwarzające nowe partye. Tak np. na Zachodzie, gdzie towarzystwa kolei żelaznych monopolizują dużo ziemi i każą sobie płacić bardzo drogo za przewóz towarów, powstała partya ludowa mało dbająca czy wybierają posłów i urzędników republikańskich lub demokratycznych, byleby ludzie wybrani przyrzekli skrócić przywileje kolei. Boją się tu bowiem, by towarzystwa kolejowe nie odgrywały z czasem w Ameryce roli lordów w Anglji, trzymających większą część ziemi w swych rękach i wysysających ludność wiejską na swoją korzyść.

Karność polityczna, jak każda ustawa lub zwyczaj ludzki, łatwo sprowadza nadużycia. Jeżeli się uda jakiemu gronu ludzi zdolnych i przebiegłych uzyskać zaufanie większości, łatwo im złudzić ją i nakłonić do ślepego ufania w przewódzców. Wszelkie usterki w życiu publicznem tutejszem, pochodzą wedle mego zdania z tej przyczyny. Niejeden wyborca amerykański ma ludzi których uczciwości nie ufa, byleby nie tworzyć rozdwojenia w swej partyi. Ludzie wybrani pozwalają sobie mnóstwa nadużyć, spodziewając się że wyborcy chętniej poprą nieuczciwych przyjaciół politycznych jak krytykujących tę nieuczciwość przeciwników. W ten to sposób cała partya rządząca w Ameryce od czasu wojny z południowcami, dopuściła się niejednego błędu i matactwa, licząc że republikanie prędzej oczy zamkną na ich niedołęztwo i nieuczciwość, jak przejdą do obozu demokratów. Przed wojną demokraci nie lepiej rządzili, a jeżeli nowo tworzące się stronnictwo, czyli partya ludu przyjdzie do steru, pewno za lat kilka zacznie gospodarzyć również ospale i nieuczciwie. Krytyka nieprzyjacielskiej mniejszości nieprzyjaznej nie wzmocniła się dezerterami z jej obozu.

Rozpisałem się o partyach amerykańskich, chcąc wam wytłomaczyć niektóre zagadkowe dla was zjawiska tutejszego politycznego życia. Czy wyjaśnienie moje trafne, nie wiem, lecz wydaje mi się trafne. Tylko w ten sposób mogę wam wytłomaczyć, dla czego mieszczanie tutejsi nieraz znoszą obojętnie okradanie kasy publicznej przez *ringi*, czyli gromady polityków. Ludzie tu twierdzą, że lepiej aby złodziejom tejże samej opinji dobrze się wiodło, jak złodziejom o przeciwnych zdaniach.

— Mamy nieuczciwych urzędników, rzecze do mnie pewien tutejszy obywatel, lecz ludzie ci związani przyjaźnią i stosunkami ze znaczną częścią naszego stronnictwa. Część ta zawsze za niemi będzie głosowała, gdybyśmy więc odłączyli się od niej, obóz nasz rozbiłby się na dwoje. Przeciwna partya korzystając z rozdwojenia przeprowadziłaby swych kandydatów, większych może nieuczciwców jak teraźniejsi nasi rządzcy.

— Lecz gdyby ludzie porządni obu stronnictw, połączyli się i wybrali mieszane rządy z samych obywateli honorowych? rzekłem do niego.

— Gdzie długie lata rozdzieliły ludność na dwa tak skrajne obozy jak u nas, byłoby to rzeczą trudną, odrzekł mój znajomy. Względy polityczne silniejsze tu jak chęć ich ochronienia kasy publicznej od łapczywości rządzących. Ja sam wolałbym płacić cokolwiek więcej podatków, jak ujrzeć demokratów u steru. Zdarza się jednak czasami iż gdy rządzący przebiorą miarkę, wytworzy się koalicya ludzi uczciwych i działa wedle pańskiej rady. Rzecz to jednak rzadka, chwytamy się jej w ostateczności, gdy nam tak dokuczą jak dokuczył mieszkańcom N. Yorku ów ring *) który tyle skradł milijonów, lub farmerom w Jowie, owe kompanije żądające połowy ceny otrzymanej na targu za przewóz przenicy do portu, tylko o 50 lub 100 mil odległego.

Wiecie kochany Redaktorze jak nienawidzę rozpraw politycznych i jak mało biorę udziału czynnego w kłótniach świat dzielących. Siedząc w górach, borach i stepach, lub w kopalni pod ziemią przez większą część roku, odgrywam raczej rolę widza jak aktora i ani chęci ani czasu mi nie starczy, by się bawić wyborami i przemyśliwać nad zaletami kandydatów, lub słusznością tej wojującej strony. Dla tego też niespodziewajcie się bym was nudził często obszernemi sprawozdaniami o partyach tutejszych i o matactwach wyborczych. Mało one mnie obchodzą, was mniej jeszcze Co napisałem o nich, wyjaśni wam może niejedną rzecz wyczytaną o dowodach zepsucia politycznego w Ameryce, tak skrzętnie ogłaszanych przed światem przez angielskich i niemieckich gazeciarzy.

d. c. n.

*) Ring zwany Tamany Ring, który zrójnował finanse stolicy tej do szczętu.

Korespondencya z Petersburga.

Pisząc z Petersburga w połowie karnawału, powinienbym zacząć od opisu świetnich zabaw stolicy, niezrównanego przepychu i bogactwa strojów, lecz ponieważ pod tym względem jestem zupełnie niekompetentym sędzią, w szczerości ducha wyznać muszę, że nigdy nie mogę spamiętać nawet nazwisk wszelkich nowomodnych materyi i przyborów wchodzących w skład strojów damskich, zatem o balach i zabawach powiem tylko co sam słyszałem od wielkoświatowych bywalców, że daleko raźniej idzie zabawa w małem kółku i w skromnych salonikach niż w złoconych salonach i że „gdzie wiele przygotowań tam nic z dyjalogu.“

Niedawno jeszcze wszystkie gazety zajmowały się „sławną sprawą“ niegdyś baronówny Rozen, a ostatnio matki Mitrofani, przełożonej Siostr miłosierdzia w Moskwie, obecnie nowa zbrodnia popełniona w stolicy, dostarcza znowu materyału do nowych artykułów i domysłów. W klinice medyczno-chirurgicznej Akademii petersburgskiej, w liczbie innych chorych znajdował się młody 16 letni Amerykanin. Chorował dość ciężko i przez cały czas leczenia, ani razu nie odwiedził go nikt ani z rodziny ani z przyjaciół, i dopiero gdy zaczął wracać do zdrowia, pewnego dnia pojawiły się dwie jakieś panie i zażądały widzieć się z chorym, oznajmiając że jest on ich siostrzeńcem.

Chory był już rekonwalescentem i wolno mu było przechadzać się po korytarzu, nie stawiano zatem krewnym żadnych trudności i pozwolono widzieć się z siostrzeńcem. Przybyłe panie dość długo rozmawiały z nim na korytarzu i częstowały cukrami i ciastami; nareszcie pożegnały się i odeszły, obiecując znów odwiedzić go niezadługo. Chory pozostał na korytarzu i przeszedł jeszcze parę razy, nareszcie padł na posadzkę, żadnego nawet nie wydawszy krzyku. Gdy go postrzeżono leżącym służba rzuciła się chcąc go podnieść i odprowadzić do łóżka, — ale podnieśli tylko martwe zwłoki. Śmierć tak nagła której stan młodzieńca wracającego do zdrowia ani usprawiedliwiał ani nawet przypuszczać dozwalał, zastanowiła lekarzy i postanowiono zrobić sekcyę, chociaż przybyły wuj zmarłego starał się wszelkiemi sposobami temu zapobiedz. Zabiegi jego były bezskuteczne, otworzono ciało i przekonano się niebawem, że śmierć nastąpiła skutkiem zadanej gwałtownej trucizny. Jednocześnie powzięto wiadomość, że na zmarłego młodzieńca spadł niedawno wielki majątek po jakimś bogatym krewnym w Ameryce, co objaśnia powód zbrodni.

Widać po śmierci młodzieńca, spadek przechodziłby na jego zabójców. Zarządzono surowe śledztwo.

Od wstrętnego obrazu chciwości i nikczemności ludzkiej, przejdźmy do więcej zajmujących i pocieszających faktów. W ostatnich czasach utworzyły się w Petersburgu liczne Towarzystwa, i Komitety, które wzięły sobie za zadanie rozwijanie umysłowych i przemysłowych zasobów kraju. Są to stowarzyszenia czysto prywatne i nie posiadają innych środków prócz dobrowolnych składek, zatem nie wielkiemi rozporządzają kapitałami. Jednak umiejętny zarząd i praktyczne zastosowanie do miejscowych danych, zastępują po części wysokość funduszów. Jeszcze w październiku r. z., Towarzystwo pedagogiczne urządziło bardzo popularne odczyty publiczne w kilku ludniejszych dzielnicach miasta, które nareszcie zdołały przełamać obojętność i niemal niechęć z jaką je początkowo przyjęto i coraz liczniej bywają uczęszczane, tak że w niektórych częściach miasta z powodu zbyt szczupłych sal, wielu chcących być na odczycie, muszą być odprawiani z niczem.

W ogóle w całym Petersburgu nie ma odpowiedniej do liczby ludności sali odczytowej; największa może zaledwie 800 osób pomieścić; chcąc temu zaradzić komitet wysłał za granicę jednego z członków swoich, p. Flawickiego, aby się rozpatrzył w najznakomitszych zakładach tego rodzaju, gdyż zamierzono zbudować wielką salę, mogącą pomieścić kilka tysięcy osób.

Każdy zamierzający mieć odczyt dla tej warstwy ludności, która nieodebrawszy wykształcenia żadnego pragnie otrząsnąć się z ciemnoty i nabyć choćby najniezbędniejszych wiadomości, przedstawia go w rękopiśmie pod sąd komitetu, który po przeczytaniu udziela lub odmawia zezwolenia, i najlepsze ogłasza drukiem, tworząc tym sposobem zawiązek literatury ludowej której tu dotąd nie było, jak tego dowodzą sprawozdania z Petersburgskiego Komitetu nauczania czytania i pisania. Ostatnie sprawozdanie, na mocy danych zebranych przez oddzielną na ten cel ustanowioną przez Komitet komissyę, wykazuje: że mała tylko liczba ziemstw, w ostatnich dopiero czasach zaczęła zwracać uwagę na kwestyę wychowania narodowego, większość zaś ziemstw, dotąd zupełnie się tym przedmiotem nie zajmuje. Komitet zamierza zająć się zebraniem pewnych danych o biblijotekach i czytelniach ludowych i osobistym składzie takichże szkół.

Wysokie także budzą zajęcie liczne posiedzenia tutejszych towarzystw naukowych, które, jak zwykle z początkiem roku, bardzo bywają ożywione. Wielu z członków przedsiębierze w ciągu lata różne podróże i wycieczki w celach naukowych, i skutki badań i spostrzeżeń swoich przedstawia na posiedzeniach. Na posiedzeniu „Towarzystwa pomocy dla rossyjskiego przemysłu i handlu,“ pan Sidorow opowiedział treściwie losy znanej naukowej wyprawy austryackiej, uratowanej przez mieszczanina rossyjskiego, Teodora Woronina. Sprawozdawca zwrócił uwagę, że w liczbie biorących udział w pomienionej naukowej wyprawie, znajdował się tylko *jeden niemiec*, reszta zaś Czesi, Chorwaci, Morawianie Dalmaci i Węgrzy.

Znany geolog p. Czekanowski, przebywający w Syberyi, pracuje niezmordowanie na polu odkryć i badań naukowych. Wyprawa jego do Syberyi północnej przedsięwziętą została jeszcze w r. 1873. Udał się wspólnie z astronomem Müllerem i dotarli aż do krańcowej północnej osady rossyjskiej nad dolną Tunguzką, w celu zbadania bezludnych nadbrzeży tej rzeki, jedynie przez Tunguzów zwiedzanych. Podczas tej wyprawy uczony geolog, zgromadził bogate zbiory okazów zoologicznych i geognostycznych, a prace jego topograficzne, dokładnie określają granice i położenie tych stref mało znanych.

Zima i słoty dokuczają nam swoim zwyczajem. W ostatnich dniach grudnia ogromna zamieć śnieżna srożyła się w okolicach stolicy. Szosa wyborska i droga żelazna finlandzka w wielu miejscach do wysokości półtora sążnia została zasypana.

Pociągi kolei żelaznej wyprawiane były z dwiema lub trzema lokomotywami, a mimo to w wielu miejscach nie mogły przebić zasp śnieżnych i niejednokrotnie po kilka godzin musiały stać na miejscu. Każdym pociągiem wyprawiają pewną liczbę robotników, którzy w razie zasp zagradzających drogę, niezwłocznie zabierają się do odrzucania śniegu z szyn. Niektóre dacze wzniesione przy drodze, zupełnie zostały zasypane śniegiem.

Może przyjdzie kiedyś do tego, że nie będzie potrzeba lękać się wypadków na kolejach żelaznych, które dotąd rok rocznie tyle zabierają ofiar, gdyż coraz nowe wynajdują środki zabezpieczenia. Niejaki p. Grubman, wynalazł aparat automatyczny sygnałów i kontroli. Przyrząd ten daje możność kontrolowania szybkości biegu pociągów w czasie jazdy, dawania znaków prowadzącemu pociąg, odbierania wskazówek z pociągów, a co najważniejsza zapobiega spotkaniu się pociągów na jednej linii, dając możność wczesnego ostrzeżenia o niebezpieczeństwie. Aparat ten składa się z trzech części; jedna znajduje się na stacyi, druga jest przytwierdzona do lokomotywy, a trzecia jest na drodze, komunikują się zaś z sobą za pomocą elektryczności. Robiono już próby w obecności ministra, w gmachu ministerstwa komunikacyi a próby praktyczne tego aparatu mają być robione na jednej z linii kolejowych w pobliżu Petersburga.

I. O.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Londyn w Styczniu. 1875 r.

Rozwój przemysłu i handlu.—Mrozy nędza i śmiertelność.—Pobyt Ks. Walii w Birmingham.—Wielkie stowarzyszenie nowych Templaryuszy.—Angielscy wolno mularze.—Kwestya emancypacyi kobiet.—Najnowsze książki.—Londyńskie Kolosseum.—Próżności narodowe.—Godła.

(Dokończenie).

Zasługuje na uwagę że po wynalezieniu prochu, dewizy zastąpiły dawne okrzyki wojenne, które także nie były po większej części narodowe, ale osobiste dowódzców lub szeregów.

Do godeł należy także zaliczyć, korony, z których wiele nosi w sobie cechę narodowości, i nawet po dziś dzień każdy kraj ma wyłączną sobie właściwą formę korony monarszej. W czasach starożytnych, królowie Syryi, utrzymujący że pochodzą od Apollina, ozdabiali swe czoła diademem w kształcie promieni słońca. Idąc ich wzorem, Neron nosił koronę promienistą. Pierwszy Karol Wielki zaczął nosić koronę okrągłą, gdy w Rzymie dostał tytuł cesarza, i od owego czasu to godło władzy monarszej nosili w takiej formie wszyscy cesarze niemieccy. Cesarska korona niemiecka miała dwie gałki, nad któremi wznosił się diadem, glob i krzyż z pereł. Krzyż miał oznaczać obronę chrześcijaństwa, diadem cesarstwo, a dwie gałki państwa Danji i Czech.

Wilhelm Zdobywca, zostawszy królem Anglji nosił koronę okrągłą. Koronę angielską zdobią cztery kwiaty lilji, oznaczające dawne roszczenia do Francyi, i cztery krzyże maltańskie, na pamiątkę niczem nieusprawiedliwionego tytułu „obrońcy wiary“ jaki od czasu Henryka VIII. przybierali monarchowie W. Brytanji.

Słynna żelazna korona lombardzka była pierwotnie czysto złota jak wszystkie inne, lecz gdy Agilulf przyjął ją w r. 390, małżonka jego Teodolinda bawarska, kazała dla wzmocnienia dodać wewnątrz obrączkę żelazną, i odtąd nosi nazwę „korony żelaznej.“ Legenda podaje że obrączka ta wyrobiona z jednego gwoździa wyjętego z prawdziwego krzyża, który Teodolinda otrzymała od św. Grzegorza Wielkiego. Zdaje się że Austrya dotąd nie zwróciła Włochom tej korony.

Ciekawą jest historya korony papiezkiej. Z początku biskupi rzymscy nosili tylko mitrę jak inni biskupi; legenda podaje że mitra ta zamieniła się w diadem królewski, gdy Klodoweusz ofiarował papieżowi Symakowi koronę którą sam otrzymał w darze od cesarza Anastazego. Miała to być pierwsza korona papiezka, znana pod nazwą „regnum mundi“, Cicognara jednak utrzymuje, że papież Aleksander III. pierwszy nosił koronę, dodając ją do mitry na znak władzy monarszej. Powszechnie twierdzą że drugą koronę dodał Bonifacy VIII, zmarły w r. 1303, a Urban V, dodał trzecią.

Gdy papież ukazuje się na uroczystościach publicznych lub ma odprawiać uroczyste nabożeństwo, nosi na głowie tiarę, zdejmuje ją jednak przystępując do ołtarza dla odprawienia Św. Ofiary, i kładzie zwyczajną mitrę biskupią.

W skarbcu Watykańskim znajduje się siedm czy ośm tiar; najnowsza jest darem królowej Hiszpańskiej, waży trzy funty, wartość jej 300,000 fr.

Ostatnie miejsce między symbolami zajmują pieśni narodowe, lecz i te właściwie mało który kraj posiada i nie sięgają w ogóle odległej starożytności. Do najdawniejszych należy angielski *God sawe the Queen*, a i ten zaledwie od 150 lat istnieje. Pierwszy raz śpiewany był 1746; dziś zgadzają się powszechnie że autorem jego jest doktór Cazey. Śpiew ten upowszechnił się bardzo, i dziś śpiewają go w wielu krajach monarchicznych. Amerykanie mają dwa swoje właściwe hymny, jednak oba pod względem wzniosłości i melodyi stoją niżej od *God save the Queen* i od pięknego austryackiego utworu Heydn'a, i nie wyrażają wielkich i świętych dążeń ludu, mającego poczucie swej wielkości.

Dalej mówi jeszcze autor o kokardach, szarfach, barwach i mundurach, dodając że istotnie ulegały i muszą ulegać zmianie, gdyż z upływem czasu niektóre byłyby tak niewłaściwe, jak staroświecka broń w obec dzisiejszej dalekonośnej. Kończy zaś temi słowami:

Wnosząc z doświadczenia przeszłości, narzędzia wojenne i broń noszoną przez tegoczesnych wojowników, odpowiadające pojęciom krajowym o sile narodowej, będą ciągłej podlegać zmianie, nietylko skutkiem zmiany tychże pojęć, ale i skutkiem ulepszeń broni palnej. Przyjdzie czas kiedy oznaki narodowe, zwane dzis „mundurami“ zupełnie znikną z widowni, i po pośrednim okresie armji opancerzowanych, w których występować będą pułki obite jak okręty sześcio - calową blachą, wojny prowadzone będą z odległości kilku stopni geograficznej długości za pomocą umiejętnego spożytkowania sił przyrody.

Jeśli przepowiednie te się urzeczywistnią, wtedy przyszłe pokolenia rzucając okiem w przeszłość, myśleć będą z zazdrością o owym okresie geologicznym, noszącym nazwę „wieku chorągwi“ a resztki kopalne szczęśliwych narodów używających prochu podczas wojen, zachowane będą w muzeach przyszłości wraz ze szczątkami ich sztandarów, herbów, barw i mundurów. W każdą niedzielę ojcowie rodzin poprowadzą dzieci swoje, aby obejrzały czaszki rass pierwotnych, które używały broni odtylcowej, a godłami ich były rozmaitych kolorów materye. W owym wieku twórczości niszczącej, epoka nasza uważaną będzie za wiek złoty, wiek pokoju, niewinności, jedności i miłości powszechnej.

Mógłbym wam jeszcze donieść o installacyi nowego lorda majora londyńskiej City, ale o tem już pisały gazety, nie chcę więc powtarzać rzeczy znanych.

T. C.

Przegląd literacki.

Sama jedna

opowiadanie przez Felicyana.

(Gazeta Polska).

Pan Felicyan, znany z talentu poeta, którego utwory, zwłaszcza ostatnie, choć drobne i urywkowe, wszelako świadczą o znacznej poetyckiej zdolności i celują szczególniej jakimś łatwym i bystrym, a głębokim nieraz dowcipem — obecnie występuje znowu jako powieściopisarz. Pierwszy znaczniejszy jego utwór w tej gałęzi piśmiennictwa — to właśnie opowiadanie, o którem mówić zamierzamy. Wspomnieć zaś o nim, nawet i obszerniej, warto z pewnością, gdyż pod niejednym względem odbija on wyraziście na szarawem nieco tle naszego swojskiego i tłomaczonego powieściopisarstwa, jak to poniżej wykażemy.

Zacznijmy od treści, której krótkie zebranie będzie może niepozbawionem interesu dla czytelników, nieznających samego opowiadania.

W miejscowości, której na początku autor nie daje nawet żadnej nazwy, gdzie był pałac "z wytrzeszczonemi oczyma,, i młyn z chińskim dachem nad wodą, biedna wieśniaczka komornica, zwana „głupią Margolą“ znalazła dziecko w bruździe na polu. Nie mogąc sama zająć się jej wychowaniem, oddała dziewczynę młynarzowej, która zaczęła nienawidzieć podrzutka i najgorzej z nim się obchodzić, zwłaszcza od czasu, gdy jej własne dzieci jedno za drugiem powymierały. Zawiniła więc Marysia (tak się nazywał podrzutek) tem, że żyła uporczywiej od innych dzieci. Jaki był los takiego podrzutka — wiadomo, jak to zwykle los sieroty, zostającej na łasce złej kobiety.

Prześladowały Marysię i inne dzieci, lecz razu pewnego ujął się za nią najmocniejszy z chłopców wiejskich — Pietrek — ujął się za nią i wraz potem sam ją wybił (właściwie nie wiadomo dla czego).

Taką była pierwsza znajomość Marysi z Pietrkiem, Miała Marysia jeszcze jednego przyjaciela — psa Znajdka, który, jak ona, wziął się niewiedzieć zkąd. Tymczasem umarła Margola, oddawszy Marysi przed zgonem jakąś obrączkę, którą spostrzegłszy młynarzowa odebrała i posądziła dziewczynę o kradzież; wskutek tego obita i lękając się gorszych następstw, Marysia z porady Pietrka, ucieka w świat.

W lesie napotyka cyganów, którzy zabierają ją ze sobą; najpiękniejsza z cyganek taboru „księżniczka Kraska“ pokazuje życzliwość Marysi, ale niedługo, przy popłochu wynikłym z jakiejś kradzieży, Marysia znajduje się znowu opuszczoną przez uciekających cyganów. Niebawem znajdują ją jacyś ludzie i wmawiają w nią, że jest panienką, porwaną przez cyganów, poczem ją przynoszą, do pięknego pałacu do mniemanej jej matki, opłakującej porwane przez cyganów dziecko.

Dziwnem się to trochę wydaje, że dworscy ludzie mogli omylić się, znając przecież dobrze córkę swojej pani, ale ta okoliczność wyjaśnia się nieco później.

Piękna pani, mieszkająca w pałacu, ciągle chora, stroskana i płacząca poznaje że Marysia nie jej córka, ale zarazem otacza ją troskliwością, poleca swojej rezydentce czy ochmistrzyni pannie Auguście, osobie bardzo nerwowej, a sama już to ukradkiem już to, pod koniec, i jawnie okazuje Marysi wielką czułość i przywiązanie. Tu już autor pozwala domyślać się że kto wie czy Marysia nie jest istotnie córką pięknej pani, choć nie tą którą cyganie porwali.... Panna Augusta musi wiedzieć o wszystkiem, ale ta nerwowa osoba trzyma się najczęściej chwalebnej zasady „lepiej o tem nie mówić“. Początkowe nauki pobierała Marysia od starej Cwiklińskiej, która utrzymywała rodzaj szkółki; następnie oddano ją do miasta, na pensyę pp. Trzmielskich, a na stancyi ulokowano u państwa Czereśniów. Tu znowu Marysia, choć za nią piękna pani płaciła, została kopciuszkiem, poniewieranym i okradanym przez pana Czereśnię, który „nigdy nie miał czasu“ i przez godną jego małżonkę, która wiecznie kłóciła się z dzieciakami.

W czasie pobytu na pensyi u Trzmielskich, Marysia znowu zeszła się z Pietrkiem, który w temże mieście uczył się stolarstwa: poczciwy chłopak, jedyny niegdyś jej przyjaciel i obrońca, zaczyna ją w cichości czcić i uwielbiać, choć lęka się swego uczucia, trwoży się i kryje, a nareszcie od niej ucieka. Na pensyi Marysia zyskała także przyjaciołkę w osobie małej Zosi „hrabianki Kobalt“, którą pani Trzmielska, hołdując zasadzie bezwzględnej równości i przyuczając swe wychowanice do pracy, używała do zamiatania i zajęć gospodarskich w kuchni. Sam pan Trzmielski, coś nakształt pozytywisty, układał ciągle wiersze o lokomotywach i machinach i co rok bezskutecznie łudził się nadzieją, że małżonka pozwoli uczennicom wyuczyć się tych wierszy na popis.

Z pensyi Trzmielskich Marysia przeniosła się do wyższego zakładu panny Akwiliny w innem większem mieście. Tu w gronie nauczycieli znajdował się niejaki pan Childeryk, którego autor przedstawia brzydkim, złośliwym i sceptykiem, a który pomimo to miał szczęście do kobiet i w końcu został ideałem Marysi, ukochanym przez nią z całą siłą pierwszej miłości. Trudno zarzucić psychologiczne nieprawdopodobieństwo temu faktowi i sam autor słusznie poświęcił słów kilka dziwactwu kobiecych upodobań.

Nam przypomina to radykalny i do ostateczności już posunięty w tej materyi pogląd Wiktora Hugo, wypowiedziany w „człowieku śmiechu“ (L'homme qui rit), według którego cudnie piękna księżna zakochała się w potwornym Gwynplanie dla tego właśnie że był potwornym. Childeryk może z powierzchowności, acz nieładny, był nieco przystojniejszym od Gwynplana; wszelako i z charakteru, tak jak go autor kreśli, nie wydaje się w cale sympatycznym, a przynajmniej, choć może ulubiony wdowom i starym pannom, mało jakoś stworzony na ideał mło-

dziutkiej szesnastoletniej panienki. No, ale trudno „serce nie sługa" Marysia, choć (jak to zwykle bywa) długo o tem nie wiedziała sama, wszelako pokochała Childeryka i to głównie dla tego, że on był jakoś na świecie „sam jeden" podobnie jak i ona była „sama jedna" bo nawet nie było wiadomo, zkąd się wzięła.

Poczciwa Zosia i w instytucie panny Akwiliny odstąpić przyjaciołki nie chciała: tym sposobem przywiązanie do tych dwojga istot wypełnia budzące się serce Marysi. Zresztą Zosię kocha ona z pewnem lekceważeniem, z poczuciem własnej wyższości a wyższość nad sobą przyznaje Chiderykowi. Tymczasem owa piękna pani, opiekunka Marysi umiera, w niczem jej losu nie zabezpieczywszy; Marysia musi sama na siebie pracować i zostaje nauczycielką w instytucie panny Akwiliny, potem bierze ją do siebie panna Augusta, która przyjechała na mieszkanie do miasta. Razem z Zosią Marysia udaje się na wakacye do Dębowej Góry i — dziwo — poznaje w majętności rodziców Zosi miejsce w którem spędziła dzieciństwo. Tu usilnie stara się o jej względy kuzyn Zosi Henryk, ale Marysia zbywa go lekceważeniem, marząc o Childeryku, ten ostatni również nie był względem niej obojętnym, gdy raptem następuje zwrot dziwny i niespodziewany. Childeryk wydaje drukiem nową powieść, w której nielitościwie i cynicznie opowiedział dzieje owej pięknej pani i jej występnych stosunków, których owocem była Marysia. Z kąd się o tem dowiedział — niewiadomo; zresztą i panna Augusta nawiasowo tylko zwróciła uwagę Marysi na jej pochodzenie, które całkowicie nie zostaje wyjaśnionem w powieści. Wnet po tym szkaradnym niewytłomaczonym czynie Childeryk żeni się... z panną Akwiliną. Zawiedziona i złamana Marysia, z której okrutny autor powieści przychodzi się jeszcze naigrawać, czas jakiś waha się potem, czy ma przyjąć serce Henryka który tymczasem został narzeczonym Zosi, ale się przezwycięża i ucieka.

Odwozi ją Pietrek do klasztoru Sióstr miłosierdzia a gdy tam wkrótce Marysia zmarła, tenże Pietrek zjawia się jeszcze po raz ostatni i własnemi rękami robi jej trumnę.

Taka jest treść opowiadania. Widzimy, że treść to niezbyt skomplikowana, ale i tak jej bodaj że za wiele w stosunku do rozmiarów opowiadania. Pan Felicyan nie należy bowiem do rzędu tych powieściopisarzy, którzy wyzyskują swój przedmiot aż do ostatecznych granic wszechstronnej drobiazgowości, niezawsze z pomyślnym skutkiem, gdyż tylko znakomity talent może tchnąć życie nawet w drobiazgowe szczegóły i rozsypywać wszędzie iskry dowcipu, daru spostrzegawczego, estetycznego piękna i moralnych idei. Pan Felicyan raczej szkicuje niż wyczerpuje, tak że gdyby wypełnić i zaokrąglić jego kontury i przypadkowe, że tak powiemy kreski i zacięcia, możnaby we trójnasób pomnożyć rozmiary powieści „Sama jedna" Z tego względu p. Felicyan przypomina nam węgierskiego powieściopisarza Maurusa Jokai, którego powieść „Fatia Negra" przed dwoma laty w Gazecie Polskiej drukowana, odznacza się właśnie takiem lekkiem szkicowaniem wielu szczegółów, nawet mających ścisły związek z główną treścią opowiadania. Oczywiście taka manijera wymaga znacznego talentu, jeśli nie mistrzostwa; istotnie też i p. Felicyan, jeśli nie ostatnie, to niewątpliwie okazał pierwszy. Potrzeba też zostawić wiele domyślności czytelników, dobra powieść, jak dobry profesor; nie mówi wszystkiego lecz pozostawia część znczną domyślności, a jak tu, to i fantazyi czytelników. Tak np. pochodzenie Marysi w powieści, o której mówimy, nawiasowo tylko, wzmiankami i niezupełnie zostało wyświetlonem: nie mamy o to wielkiej pretensyi do autora gdyż powieść nie ma być we wszystkich szczegółach wypełnionym życiorysem bohatera lub bohaterki, chociaż niektórzy powieściopisarze epizodycznie opowiadają nam także wyczerpująco i życie drugorzędnych postaci. Wszelako są w życiu bohaterki chwile, które wymagałyby koniecznie bardziej szczegółowego i gruntowniejszego, głębszego przedstawienia i tutaj owa maniera szkicowania staje się wadą. Tak np. bardzo niewiele dowiadujemy się o wyrobieniu w Marysi umysłu i charakteru w epoce, gdy przestała być dzieckiem i zaczęła być dziewicą, wiemy tylko że celowała ona w naukach, że wciąż tylko myślała o swojem sieroctwie, przetrawiała wspomnienia dzieciństwa, myślała niekiedy o Pietrku i marzyła o Childeryku. Wzrostu i układu żywiołów tego charakteru, psychologicznej jego analizy nie znajdujemy prawie zupełnie. Niebrak i dziwnych nawet dysonansów w tym nieokreślonym charakterze: tak np. trudno nam zrozumieć tę walkę ostatnią w obec przywiązania Henryka; czy podobna ażeby Marysia, która kochała jeszcze Childeryka, mogła już czuć w sobie rodzącą się skłonność dla Henryka? „Nie ma jednego, dobry drugi, pospolitej tej zasady nie powinienby przecież autor narzucać i swojej bohaterce. Nadto, skoro już Childeryk odepchnął Marysię a ona sama odepchnęła Henryka przez przyjaźń dla Zosi (!), dla czego już raczej nie uszczęśliwiła poczciwego, od dzieciństwa przywiązanego Pietrka? Nie jesteśmy zwolennikami hymenowego coûte que coûte zakończenia wszelkich powieści; ale wyznajemy że połączenie Pietrka z Marysią byłoby jedynem zadawalniającem i uspokajającem zakończeniem — a dawni autorowie i na to zwracali uwagę, ażeby uspokoić czytelnika — bardziej zadawalniającem, niż owa śmierć w klasztorze i owo wykonanie trumny rękami Pietrka — zakończenie cokolwiek chorobliwej afektacyi w sobie mającej.

Nie mamy bynajmniej zamiaru krytykować twórczości autora ani prostować dróg, na których sobie szukał natchnienia i bierzemy powieść taką jaką nam dał, ale nie zamykamy oczu na usterki. Oryginalność jeżeli gdzie to w sferze powieściopisarskiej, jest drogocennym skarbem dzisiaj, gdy już zużytkowano wszelkie możliwe, ba i niemożliwe pomysły. Ciężko to wprawdzie o tę oryginalność, nie tak łatwo i p. Felicyanowi, ale u niego poczęści owa manijera szkicowania, połączona z bystrym darem dostrzegania cech charakterystycznych nawet w drobiazgach, następnie znajomość świata i ludzi, humor naturalny, czasem głęboki i smutny, wszystko to w znacznym stopniu, nie powiemy zastępuje brak oryginalności, lecz raczej pomaga do jej zdobycia. Wskutek tych charakterystycznych własności, pomysły zkądinąd mało oryginalne nabierają w opowiadaniu p. Felicyana świeżości i ponętnego oryginalnego kolorytu. Zresztą w pomysłach, zarysach i zwrotach pomniejszych, łatwiej przychodzi p. Felicyanowi oryginalność, połączona z trafnością; w ważniejszych zwrotach autor nietyle był szczęśliwym: dowodzi tego wspomniane powyżej zakończenie, a także i katastrofa, która sprowadziła zerwanie pomiędzy Marysią i Childerykiem: pomysł napisania powieści, cynicznie wytykającej pochodzenie biednej kochającej dziewczyny, a to w celu zerwania — pomysł dziwny istotnie, a względnie potworny. Chcemy powiedzieć że człowiek, któryby jak Childeryk dopuścił się takiego okrucieństwa, byłby zaprawdę potworem.

To też charakter Childeryka, o ile został naszkicowanym, wygląda istotnie jako coś potwornego, demonicznego. Nie powiemy, żeby taki charakter był niemożliwym; niestety obfite w anomalije i zboczenia nasze czasy wydają podobne osobistości, dla których stanowi igraszkę zadawanie ran i męczarni innym i nawet sobie samym.

Skoro już przeszliśmy do pojedyńczych charakterów, osób, działających w powieści „Sama jedna" i uznaliśmy że charakter Chideryka skreślony jest z prawdą życiową, dodajmy więc słów kilka i o reszcie charakterów. O bohaterce jużeśmy powiedzieli, że charakter jej nie został należycie opracowany. Jak zwykle tak i u pana Felicyana, drugorzędne postacie wypadły najlepiej; wypadają zaś one zwykle najlepiej może dla tego, że mniej od nich wymagamy, a z drugiej strony autor mniej czyni wysiłku nad drugorzędnemi figurami, a rzeczą to jest wiadomą, że częstokroć od niechcenia lepiej zrobimy, niż przy usilnych staraniach.

Tak oprócz Childeryka, postacie Ćwiklińskiej, panny Augusty i państwa Trzmielskich skreślone są znakomicie, pomimo że tych ostatnich autor zaledwie pokazał nam zdaleka. Podobnie zdaleka widzimy, jakby we mgle, ową chorowitą panią, domniemaną matkę Marysi, wszelako z kilku rysów, które nam daje autor, dosyć ażeby powziąść wyobrażenie że i charakter to był chorobliwy. Sympatyczny, choć prosty, serdeczny choć naturalny jest charakter Pietrka, o którym możnaby powiedzieć że był wierny jak pies. Podobnież „psią miłością" (jak mówi jakiś autor angielski) kochała, jak się dowiadujemy z zakończenia powieści, owa cygańska księżniczka Kraska, zwana Zefiryną; zresztą charakter jej pozostaje w cieniu i nierozwinięty. Podobnież postacie Zosi i Henryka naszkicowane bardzo lekko, ze względu na ich nicość i bierność.

Przy końcu dodajmy słówko o stylu i języku autora. Styl p. Felicyana dziwnie odpowiedni owej manijerze szkicowania: urywkowy, często dosadny, czasem rzewny, niekiedy żartobliwy. Niekiedy widzimy w nim pewną niedbałość, która częstokroć jest wdzięczną, ale czasem trochę nudną. W ogóle, używając podobnego stylu, bardzo trudno ustrzedz się monotonności i afektacyi: wady te przebijają i u p. Felicyana, choć w nieznacznym stopniu. Język poprawny, często przeplatany ludowemi wyrażeniami. Za wielką zasługę poczytujemy autorowi, że wystrzegał się patetycznych i napuszonych wyrażeń, bez których nie może obejść się wielu powieściopisarzy w tem błędnem mniemaniu, że bohaterowie i bohaterki powieści, jeżeli niezawsze, to przynajmniej niekiedy, nie mogą obejść się bez górnolotnych przemówień, niby bohaterowie na scenie greckiej bez koturnów!

Ostatecznie, rozpatrzywszy się razem z nami w zaletach i wadach powieści „Sama jedna," czytelnicy niewątpliwie podzielą wypowiedziane przez nas na początku zdanie, że powieść ta zasługuje na to. ażeby ją czytać, i ażeby o niej mówić.

L. Sz. W.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami, Katalog księgarni Kowalskiego i ogłoszenie fabryki kwiatów pani Elizy

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.



N. 4. Chusteczka muślinowa. Plecy do ryc. 5.







N. 1—3. Garnitur złożony z medaljonu, broszy i kolczyków.



N. 5. Chusteczka muślinowa. Przód do ryc. 4.



N. 6. Chusteczka koronkowa z kwadratowym wykrojem.

Opis do N. 8.

(Ciąg dalszy).

N. 9. Wycięty stanik z baskiną i bertą do sukni wieczorowej.

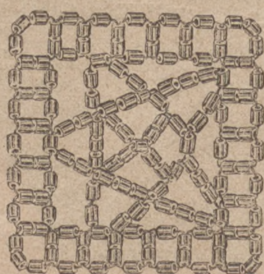
Na przybranie do jasnej kolorowej materyi można użyć tarlatanu, krepy lub tiulu tegoż co suknia koloru. Pliski przeciwnie dodają się z materyi. Na staniku ze strojną baskiną poczwórna plisa jedwabna przyciska środkiem bertę koronkową; plisa ta z przodu dana jest gładko od ramion jest fałdowana. W około wykroju stanika naszyta koronka biała i kolorowa, dość nadmarszczona. Bufowane krótkie rękawki i kieszonki na baskinie, zakończone są koronką. Suknia bogato przybrana kwiatami; na szyi perły, na głowie pióro przepięte ozdobną śpilką.



N. 10. Wycięty stanik z kamizelką do ubrania wieczorowego.



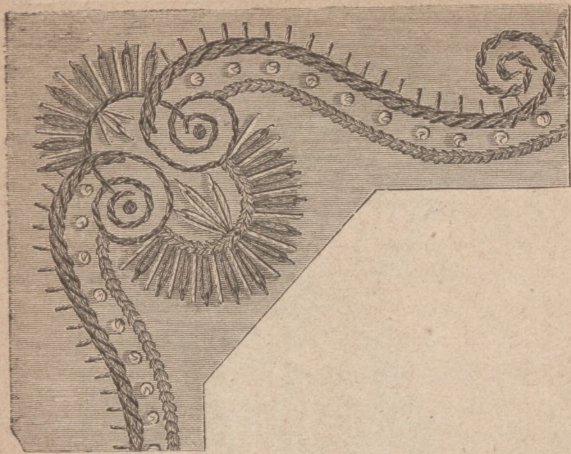
N. 7. Naszyjnik z gwiazdek i perełek.



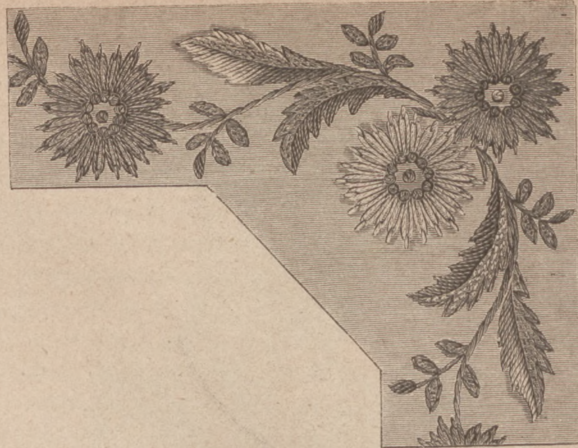
N. 8. Gwiazdka do ryc. 7.



N. 9. Wycięty stanik z baskiną i bertą do ubrania wieczorowego.



N. 15. Narożnik na ścianę podłużną do ryc. 12.



N. 25. Szlak haftowany do chustki od nosa, ryc. 23.

N. 10. Wycięty stanik z kamizelka.

Do gładkiej, z wielkim trenem sukni, z kolorowego atłasu lub rypsu jedwabnego, odpowiedni jest wycięty stanik z baskiną i krótkiemi rękawami, odrobiony z aksamitu i atłasu. Brzeg stanika otacza plisa atłasowa, kamizelka jest z atłasu, naszyta aksamitkami. Koronka zdobiąca w około brzegi stanika, przy wykroju dana jest podwójnie i suto nadmarszczona. Z lewej strony przy pasku wisi strojna kwiatami kieszonka, z tegoż co suknia materyjału. Kwiaty przy staniku i we włosach oraz naszyjnik z pereł dopełniają ubrania.

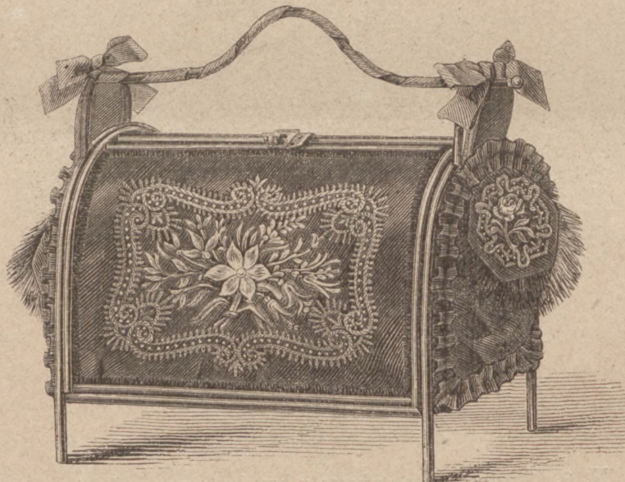
N. 16. Czepeczek wizytowy dla osób starszych.



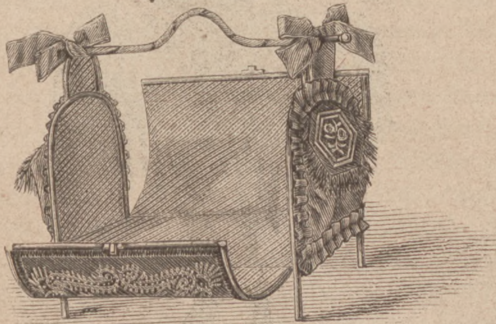
N. 11. Zimowe ubranie z vêtement.

N. 11. Suknia z vêtement.

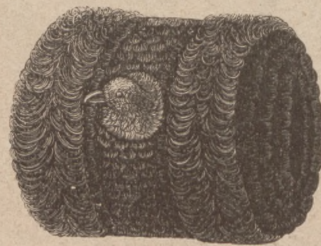
Jasno-brązowa miękka lama, stanowi najodpowiedniejszy materyjał na zimowę vêtement, z ciemniejszemi wykładami przy tunice, staniku i rękawach i z wielkiemi metalowemi guzikami, jakie przedstawia ryc. 11. Stanik bez żadnej baskiny kraje się w jednym ciągu z tuniką, wysoko podpiętą z lewej strony i ozdobioną wykładem z guzikami. Vêtement wzdłuż przodu zapięte jest na lewym boku, z prawej strony guziki i odznaczone tylko dziurki, naśladują rodzaj napierśnika. Kapelusz i mufka aksamitna przybrane są piórami.



N. 12. Szkatułeczka do robót zamknięta. Patrz ryciny 13—15.



N. 13. Szkatułeczka do robót otwarta. Patrz ryc. 12—15



N. 17. Mufka z piór.



N. 19. Krawatka z piór z plisowaniem muślinowem odpowiednia do ryc. 17.



N. 18. Krawatka z piór, odpowiednia do ryciny 17.

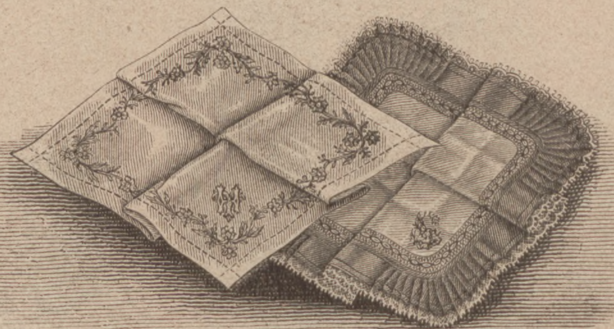


N. 20. Teka na chusteczki. Patrz ryc. 21—22.

N. 12—15. Szkatułeczka do robót ozdobiona haftem i aplikacyją z kretonu.

Materyjał: atłas czarny, pąsowa materyja i takaż wstążka 2 cent. szeroka; popielaty sutasz w średnim cieniu i jedwab kordonkowy w trzech cieniach; cienki złoty sznureczek, 1 cent. szeroka czarna frendzla i tektura.

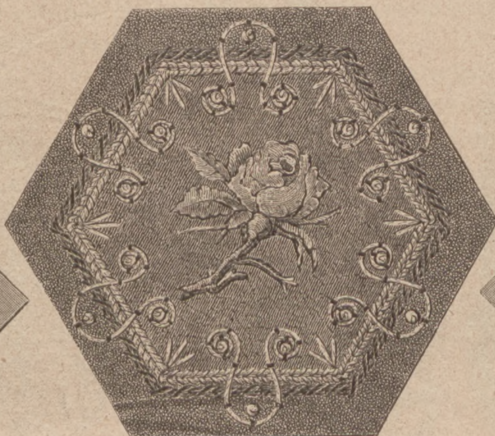
Postument do ładnej szkatułeczki do robót, którą rycina 12 i 13 podają zamkniętą i otwartą, odrobiony jest z pięknie lakierowanej czarnej trzciny i liczy 21 cent. wysokości a 23 długości Do tego postumentu przybija się od środka cieniutkiemi sztyfcikami ścianki tekturowe, powleczone materyją i stanowiące dno i boki. Podłużne ściany, ruchomo przyczepione do spodu, schodzące się u góry z sobą i stanowiące wierzch szkatułeczki, są jak widać na rycinach okrągło wycięte. Do zamykania służy maleńki ozdobny zameczek. Wierzchnia strona ścian podłużnych, pokrytych czarnym atłasem, ozdobiona jest bukietem z aplikacyi kretonowej wyszytym jedwabiem, ściegiem cierniowym. Bukiet otacza ramka z sutaszu i haftu ściegiem sznureczkowym, łańcuszkowym i węzełkami. Środek szkatułeczki wyłożony jest pąsową materyją. Na bokach szkatułki dodane są jeszcze kieszonki z pąsowej materyi ze zwierzchnią klapką z czarnego atłasu, której przykrycie pokrywa riusza z wstążki otaczająca brzegi ścianek. Pod kieszonkę dodaje się dla mocy perkal biały; klapki ozdobione są maleńką aplikacyją podług ryc. 14, brzeg oszyty frendzlą jedwabną. Po nad kieszonkami przy osadzie pałączka, dodane są maleńkie poduszeczki watowane do włożenia igieł lub szpilek, potrzebnych



N. 23—24. Dwie chusteczki z cyframi. Patrz ryc. 25 i ryciny 15—16 w N-rze 7.



N. 21. Kwiatek haftowany do ryc. 20.



N. 14. Wyszycie na klapce bocznej do ryc. 12.

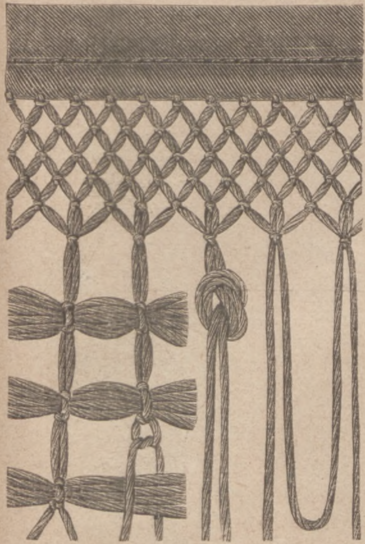


N. 22. Kwiatek do wyszycia na ryc. 20.

przy robocie. Rycina 15 przedstawia w naturalnej wielkości część deseniu ramki w koło bukietu.

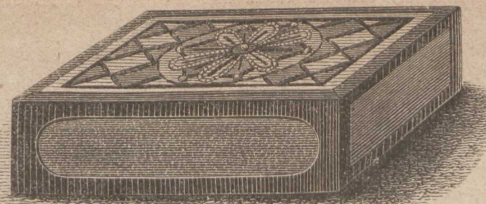
N. 16. Czepeczek wizytowy dla pań starszych.

Denko czepka przyszywa się do podstawy ze sztywnego tiulu, w kształcie trójkąta 23 cent. długiego, 7 ½ w środku

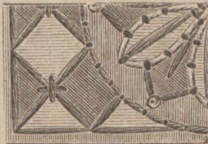


N. 30. Frendzla do ryc. 29.

2 ½ w końcach wysokiego. Ozdobne końce 26 cent. szerokiej lila wstążki, po 68 cent. długie, przybrane są z wierzchu listkami układanemi z koronki 2 cent. szerokiej i z białej illuzyi. Każdy z 6 listków, trochę na siebie zachodzących i przytwierdzonych kwiatkami fijołków, wymaga podwójnego kawałka iluzyi 7 cent. szerokiego, a 8 długiego, który z obu brzegów ścina się spiczasto, następnie oszywa koronką i przez założenie fałdy w środku, zwęża do 4 centymetrów. Pięć podobnych listków, lecz tylko po 4 cent. długich zajmuje z przodu środek czepeczka. Oprócz tego suty bukiecik fijołków wpięty jest w riuszę illuzyjową 6 cent. szeroką, oszytą wąziutką blondyną. Przybranie czepeczka z tyłu składa się z kokardy z długo spuszczonym końcem, obok której przyczepiony jest liść z koronki; wielkie białe pióro strusie, przechodzące środkiem kokardy, spada na denko.



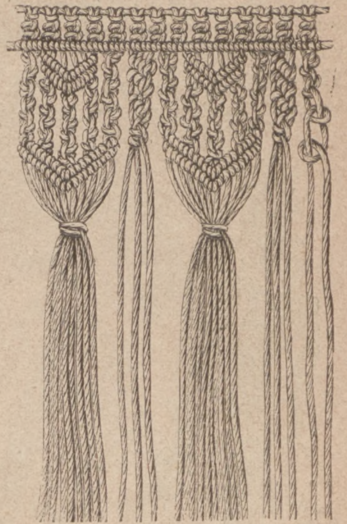
N. 26. Pudełeczko do zapałek. Patrz ryc. 27.



N. 27. Czwarta część deseniu na wierzch pudełeczka ryc. 26.



N. 28. Poduszka do kanapy. Haft i aplikacyja.



N. 31. Frendzla. Robota wiązana w węzły.

N. 17—19. Mufka i krawatki z piór.

Rycina 17 przedstawia mufkę z piór, której środkowy pas ułożony z piórek lśniących i mieniących się w barwy czarne, szafirowe i zielone, pasy brzeżne są z fryzowanych piór strusich. Na wierzchu mufki osadzona jest główka ptasza z pąsowemi piórkami. Długość mufki wynosi 18 cent. objętość 44 cent. Ryciny 18 i 19 załączają dwie odpowiednie krawatki; pierwsza, 72 cent. długa a 4 szeroka, ułożona jest z takich piór jak środek mufki i zapięta takimże łebkiem. Druga strojniejsza krawatka ułożona jest z piór strusich i podszyta plisowaniem z muślinu; przy zapięciu jeden koniec wysunięty jest dłużej, przepięty węzłem z wstążki i dwoma puklami.



N. 29. Chusteczka na szyję lub do zarzucenia na głowę. Patrz ryc. 30.



N. 32. Paletot z dwojakiemi rękawami. Przód do ryc. 33.



N. 33. Paletot z dwojakiemi rękawami. Plecy do ryc. 32.

N. 20—22. Teka na chusteczki.

Materyjał: atłas biały i różowy; wstążka różowa 3 i 2 1/2 cent. szeroka; 10 maleńkich jedwabnych różowych guziczków; wata jedwab w kolorze niebieskim, białym zielonym i brązowym.

Do odrobienia podanej na ryc. 20 teki, potrzebne są dwa watowe, 23 cent. długie



N. 34. Agrafka z zawieszonym wachlarzem z kości słoniowej, flakonikiem i książeczką.

kwadraty z białego atłasu, drobno w kwadraciki przepikowane. Kwadrat przeznaczony na spód pokryty jest zwierzchu różowym atłasem; drugi zwierzchni kwadrat ma dodany drugi wypukły pokład waty i także pokryty jest atłasem różowym, na którym pięcioma rzędami wychaftowane są kwiatki podług ryc. 21 i 22. Kwiateczki są błękitne i białe, listki zielone a korzonki brązowe. Odznaczenie kwadracików dopełnia się przez naszycie w wymierzonych odstępach guziczków różowych. Obie wykończone części łączą się zsobą ściśle za dwa brzegi z jednej strony: z boków dodają się paski atłasu białego, z przedniego końca 8 1/2 z tyłu 1 1/2 cent. szerokie. W około zwierzchniego kwadratu, spuszcza się różowa atłasowa falbanka, 3 cent. szeroka, której przyszycie pokrywa riusza z wstążki 2 1/2 cent. szerokiej układana w wachlarzowe fałdki.



N. 37. Wycięty stanik, naszyjnik, ubranie głowy.

N. 23—25. Dwie chusteczki.

Chusteczki ozdabiane pięknie wyznaczonemi cyframi i bogatemi szlakami, ciągle utrzymują się w modzie. Sama tylko cyfra odpowiednia jest do cienkich webowych



N. 35. Szpilka do włosów.

N. 36. Rączka do osadzenia bukietu.

chusteczek, lub do batystowych z szerokim obrębem, odciętym ażurową kratką. Ozdobniejsze chusteczki mają w około brzegów haftowane szerokie szlaki, lub girlandy, białą bawełną.

(dok. nast.)

N. 38. Strojne ubranie wizytowe z potrójną tuniką. N. 39. Strojne ubranie wizytowe z fartuszkowem przybraniem. N. 40. Ubranie balowe.